Nr. 39. Poznań, Niedziela dnia 24 Września 1905. Rok IX.

PRACA

Telefon 1465.

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 20 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy dwu—trzechrazow. ogłoszeniu 20%
„ czteroraz. (miesięczn.) „ 25%
„ kwartalnem 13 × „ 33⅓%
„ półrocznem 26 × „ 50%
„ rocznem 52 × „ 66⅔%



Piegi

węgry, wyrzuty, czerwoność

i wszelką nieczystość skóry usuwa się najracyonalniej za pomocą prawdziwej wody liliowej 252

Eau de Lys de Beauté

w butelkach po 1,50 mk. i mydła liliowego w kawałkach po 75 fen.

Środki te nadają śnieżno białą cerę twarzy, białe jak aksamit miękkie ręce oraz zawsze świeży rumiany wygląd.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-Kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Do nabycia w Poznaniu u pana Czepczyńskiego, w Jarocinie u pana Chylewskiego.

Antoni Rose

Poznań—Bazar

Telefon 381.

Skład materyałów piśmiennych, galanteryjnych i skórzannych.

Zakład litograficzny i drukarnia. Rejestra gospodarcze, fabryka książek kontowych i tytek.

Tapety

począwszy od 12 fen. za rolon.

Linoleum.

38

Wszelkie próby na żądanie franko.

Karty wizytowe, uwiadomienia i zaproszenia ślubne.

Plakaty, etykiety, dyplomy.

Palcie papierosy

Abur

pierwszorzędny wyrób.

Specyalność:

Nasze i Edwardos.

887



R. Buczkowski

Poznań, Rycerska ul. 11.

Operacye zębów bez bólu za pomocą gazu

plomby, zęby sztuczne podług najnowszych systemów. 241

Kawy palone

na maszynie najnowszej konstrukcyi polecam w wielkim wyborze i wykwintnym towarze.

412

Ceny najpokupniejszych gatunków.

a) płaskich:

Nr. 10	Santos II (glazurowana) . .	funt	0,80	Mrk.
„ 20	„ I	„	0,80	„
„ 30	Campinas	„	1,00	„
„ 0	Liberya czysta	„	1,20	„
„ 40	Holenderska mieszanka . .	„	1,20	„
„ 50	Wiedeńska mieszanka . . .	„	1,40	„
„ 60	Karlsbadzka mieszanka á la Café Pupp w Karlsbadzie .	„	1,60	„
„ 70	Menado-Ceylon mieszanka .	„	1,80	„
„ 80	Non plus ultra	„	2,00	„
„ 90	Mokka-Menado-Ceylon miesz. (tylko na żądanie palę) .	„	2,40	„

b) perłowych:

Nr. 110	Santos II (glazurowana) . .	funt	1,00	Mrk.
„ 120	„ I	„	1,00	„
„ 130	Mexiko	„	1,10	„
„ 140	Guatemala	„	1,20	„
„ 160	Ceylon, wyborowa (tylko na żądanie palę)	„	1,80	„

J. N. Leitgeber, Poznań.

Handel towarów kolonialnych.

Wielkie Garbary nr. 16.

Dom Rolniczo-Handlowy

W. Loga & Co., Poznań

Poznań, Teatralna 5 Telefon 1959.

Toruń. Telefon 135.

kupuje **zboża** wszelkiego rodzaju dając odpowiednie zaliczki,

dostarcza z pierwszorzędnych źródeł wszelkie **artykuły pastewne,** jako to: **otręby i kuchy etc.** w towarze pod gwarancyą czystym.

dostarcza **nawozy sztuczne,** jako to: **tomasówkę, superfosfat, kainit i saletrę chilijską,**

dostarcza **węgiel** z renomowanych kopalni górnośląskich w ładunkach wagonowych. 46

Atelier dentystyczne

od lat 16 istniejące.

Wprawianie sztucznych zębów. 405

Plomby.

Zatruwanie nerwów i toczenie chorych zębów.

J. Czerwiński,

Poznań, św. Marcin 53.
Dom ogrodowy, I piętr

Nr. 39. Poznań, dnia 24 Września 1905 r. Rok IX.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 39-go.

Polacy w Dumie państwowej.

Wbrew wieściom, że Królestwo w porównaniu z Rosyą będzie upośledzone w ordynacyi wyborczej i stosunkowo mniej posłów wysełać będzie do Dumy prewitielstwiennej, postawiono Królestwo na równych prawach z Rosyą. Komisya pod przewodnictwem hr. Solskiego, ukończywszy swe prace, postanowiła, że tak jak w Rosyi na 250 tysięcy mieszkańców Królestwo wysełać ma jednego posła do Dumy. Ogółem zatem Królestwo będzie reprezentowane w Dumie przez *36 posłów*.

Wybory będą pośrednie. Prawo głosowania na mężów zaufania czyli walmanów posiadają:

1. prawyborcy z kuryi chłopskiej, czyli wszyscy chłopi, którzy posiadają 3 do 30 mórg ziemi.

2. prawyborcy z kuryi wielkiej własności ziemskiej, czyli wszyscy obywatele wiejscy, którzy posiadają najmniej 200 mórg ziemi.

3. prawyborcy z kuryi miejskiej, czyli wszyscy właściciele nieruchomości, której wartość wynosi przynajmniej 500 rubli, oraz wszyscy mieszczanie nie posiadający kamienic, ani innych realności, ale płacący rocznie ponad 500 rubli, komornego (w Warszawie i Łodzi ponad 1200 rubli.)

Każdy z tych trzech kategoryi wybiera posła ze swego stanu. Tym sposobem weszłaby do Dumy pewna liczba włościan, z drugiej jednak strony donoszą, że będzie im wolno wybierać posłów należących do innych kuryi.

Wymienione trzy kurye tworzą w każdym okręgu wyborczym osobne zgromadzenia prawyborców, mianowicie w kuryi chłopskiej pod przewodnictwem marszałka sądu, w kuryi miejskiej pod przewodnictwem burmistrza.

Jaki panuje sąd o Dumie, niech świadczy fakt, że gdy w niektórych bożnicach odczytano manifest o Dumie zgromadzeni zaprotestowali przeciwko zbyt wysokiemu cenzusowi wyborczemu. Policya i wojsko pilnowały bożnic, tu i owdzie przeprowadzono rewizye. Gdy pod berłem cara ogłaszają ulgi i swobody obywatelskie, policya musi być przy tem obecną, by hamować wybuchy radości uszczęśliwionych poddanych!....

Duma robi wrażenie nie izby ustawodawczej, lecz jedynie zawiązku parlamentaryzmu, z którego przyszłość dopiero ma wytworzyć potężne ciało reprezentacyjne. Wszelako jest to pierwszy i najtrudniejszy krok zwrotny na nową drogę, wiodącą do złamania rządów czynowniczych, do emancypacyi narodu, do swobody obywatelskiej.

Bądź co bądź, po tylu latach przymusowego milczenia największa i najcenniejsza część rozćwiartowanej Polski będzie mogła wypowiedzieć się w

swych sprawach w izbie państwowej. Przez to zyskuje Królestwo Polskie w pierwszym rzędzie prawo obywatelskiego życia i to bodaj jest najważniejszą zmianą i najkorzystniejszą stroną faktu powołania Królestwa do izby państwowej. Dotychczas nie było wolno myśleć głośno Polakom o najbliżej leżących sprawach, nie było wolno ani działać ani nawet zdradzać chęci działania. Obywatel był skazanym na bierność pod względem społecznym, odsuniętym zupełnie od życia publicznego, uważanym za istotę niedojrzałą, niegodną kierowania swemi własnemi sprawami. Wola czynownika była świętą. Ponieważ jednak życia żaden ukaz stłumić nie zdolny, Królestwo żyło jako organizm społeczny, lecz żyło pokątnie niby po za ciemną nieprzejrzystą z dala zasłoną. Tymczasem teraz wszystkie nurtujące w głębi społeczności prądy wystąpią na jaw i w świetle dziennem ukaże się obraz istoty Królestwa Polskiego, które przez to wchodzi na drogę prawdziwego rozwoju. Ze stworzeniem Dumy i powołaniem do niej przedstawicieli Królestwa upadają rozliczne prewencyjne rozporządzenia, które dławiły i przygniatały do ziemi społeczność polską.

Niech teraz Królestwo Polskie wykaże, że *umie korzystać* z tej swobody obywatelskiej a jak kłos ze zdrowego ziarna wykwitną z tego posiewu szersze swobody.

Narodowiec.

Germanizacya przez Kościół.

W tej materyi odbieramy z miasta następujące pismo:

Dodatnie zrobił wrażenie okólnik ks. Arcybiskupa przestrzegający duszpasterzy, aby nie pozwolili sobie wydrzeć lub ukrócić przysługującego im prawa i sami decydowali w jakim języku dziecko ma być przygotowywane do św. sakramentów.

Cóż jednak mamy powiedzieć, jeżli ta sama władza duchowna daje polskim parafianom takiego duszpasterza, który nie umiejąc i nie chcąc nauczyć się po polsku nietylko polskie dzieci przysposabia do komunii św. w języku niemieckim, lecz wogóle nigdy nie odprawiając polskich nabożeństw stale i systematycznie germanizuje lud polski?

Zdaje się to trudnem do uwierzenia, że ta sama władza duchowna, która w *Ostrowie dla dwóch niemieckich dzieci* poleca księdzu stworzenie osobnego przygotowawczego oddziału niemieckiego, patrzy spokojnie na to jak ksiądz Niemiec potrzeby duchowe setek ludu polskiego zupełnie lekceważy, dzieci ich po niemiecku sposobi do sakramentów św. i tak ich rozwój duchowy hamuje, umysły młode zaczadza a z przybytku Pańskiego robi codzienne powolne narzędzie germanizacyi. Nie dawałbym temu wiary, aby władza duchowna, z Polakiem na czele, tak przestrzegająca, aby jakie niemieckie dziecko nie uczyło się czasem gdzie prawd wiary po polsku miała całkiem nie dbać o zdrowie duchowe polskich dzieci, lecz jest rzeczą głośną w Poznaniu, że taki stan rzeczy mieli zastać we wsi *Łysiny* polscy właściciele tej majętności w powiecie wschowskim położonej, a świeżo wykupionej z rąk niemieckich.

W Łysinach mniej więcej czwarta część katolickiego ludu jest polską, jednakże od niepamiętnych czasów nie słyszała ani polskiego kazania, ani nawet ewangielii w języku polskim. W parafii łysińskiej Polacy stanowią trzecią część, tak że przynajmniej co trzeci tydzień powinno odbywać się polskie nabożeństwo. Spowiedzi miejscowy proboszcz słucha po niemiecku, dzieci uczy katechizmu po niemiecku. Nie umie bowiem wcale po polsku i nie poczuwa się do obowiązku głoszenia Polakom słowa Bożego w zrozumiałym dla nich języku. To też, gdy właścicielka Łysin urządziła wspólną modlitwę z polskim ludem, radość między nim była nie do opisania; niejeden ocierał łzę i posypały się skargi na to, że z kościoła wypędzono język polski.

Jaką wrzawę podniosłaby prasa niemiecka, gdyby okazało się, że w jakiej wsi katolickiej, w części niemieckiej pleban nie odprawia nabożeństw niemieckich. Hakatyści napiętnowaliby to jako zbrodnię, a koła rządowe także bardzo energicznie upomniały by się u ks. Arcybiskupa o natychmiastowe usunięcie księdza i zapobieżenie złemu. Ale nikt nic nie mówi, gdy ksiądz Niemiec najspokojniej germanizuje lud polski. A władza duchowna musi wiedzieć o tem, co się dzieje w Łysinach i innych wsiach we

Z TEATRU.

(Początek sezonu.)

Cicho, bez żywszego zainteresowania się ogółu rozpoczął się nowy sezon teatralny. W wystygłej piersi społeczności naszej nie ma ni iskry zapału dla rzeczy z sztuką związanych, a z drugiej strony w nastroju naszej sceny brak podniosłejszego tonu, co budziłby zapał i wznosił umysły po nad padoł spraw codziennych. Podwoje teatru otwierają się tak jakby jadłodajni czy piwiarni gdzie wstąpić można na szklankę piwa i pośmiać po kolacyi. Lecz nikt się temu nie dziwi; ten i ów może zbłąkany na nasz bruk z innych dzielnic polskich odczuje chłód przenikliwy, wiejący z przybytku, który wystawił „naród sobie,“ lecz — tak jest a ogół uważa, że jest w porządku, więc i my przechodzimy cicho nad takiemi obserwacyami do — „Ślubów panieńskich.“

Sprawozdania teatralne stały się u nas zbytecznemi, zwłaszcza wobec nieczułości i bierności Poznania, przyjmującego wszystko za dobrą monetę. Odkąd zakradł się do nas dziwny obyczaj, że kancelarya teatralna sama pisuje oceny sztuk przed przedstawieniem, moglibyśmy pióra zawiesić na kołkach. A oceny te są tak świetne, że wcale niepodobno współzawodniczyć z niemi....

Ośmielę się wszakże przyklasnąć wyborowi sztuki inaugurującej ten sezon. „Śluby panieńskie,“ jedyne z pośród sztuk naszego Moliera, oparły się zwycięzko niszczącemu wszystko czasowi i nawet w miernem wykonaniu nie tracą specyficznego swego wdzięku, który jak woń egzotyczna wyłania się z wytwornej, fredrowskiej swady. Fredro uderzył tu w stronę ogólno ludzką, która znajdzie oddźwięk w słuchaczach dopóki ród panien nie przekształci się do niepoznania i lodowaty podmuch zdrowego rozsądku nie zmrozi natury niewieściej w zarodku.

Niestety jedynie na wielkich scenach przechował się u artystów ów styl fredrowski, nieodzowny do interpretacyi „Ślubów panieńskich.“ Aktorzy młodszej generacyi, wyszkoleni na literaturze realistycznej, nietylko nie są zdolni do przystosowania się do tonu komedyi Fredry, lecz nie mają przed sobą wzorów, według których mogliby modelować swą grę. Raz tylko jeden widzieliśmy w Poznaniu wzorową interpretacyę kreacyi fredrowskiej, a mianowicie dwa czy trzy lata temu w „Geldhabie,“ w którym pani Sznagowa, przeszedłszy w Warszawie odpowiednią szkołę, stylowo i z nieporównanym wdziękiem odtworzyła rolę naiwnej dziewczyny.

Ów brak zrozumienia dla masy dawnego naszego dramatopisarza odbił się na sobotniem widowisku. P. Dobrzański w nieodpowiedniej dla siebie roli kontuszowej robił co mógł a za złe poczytać mu nie można, że nie był fredrowskim Radostem, ale wujaszkiem

Wschowskiem i Leszczyńskiem o mieszanej ludności katolickiej. Wiedząc zaś, władza duchowna nie powinna pozwolić na takie lekceważenie polskich parafian przez księdza germanizatora. Jest wogóle rzeczą niezrozumiałą, jak ksiądz nie znający języka polskiego może dostać się na probostwo, na którem ma duszpasterzyć tylu a tylu Polakom.

Władza toleruje takiego księdza Niemca, osłania swą powagą ten stan rzeczy. Lud zaś tamtejszy snadź nie dość rozwinięty i uspołeczniony, by poskarżyć się głośno, a prasa nasza nie lubi poruszać takich materyi, uważając je za drażliwe. Niedawno jedno z pism naszych podniosło, że z różnych przyczyn obawiamy się przypatrzeć germanizacyi przez kościół lecz bawimy się w politykę strusią i zamykamy oczy na znaną uległość najwyższej władzy archidyecezyalnej w Poznaniu.

To pokrywanie prawdy płaszczykiem milczenia ze strony prasy musi ustać. Nie ma takich względów, któremi mogłyby gazety uniewinnić swe milczenie. Gdyby dzienniki stały na wysokości swego zadania, postarałyby się przez specyalnego delegata czy inną drogą o zbadanie stosunków we wszystkich mieszanych parafiach, przedstawiły społeczeństwu wynik badań z całą otwartością oraz zainicyowały petycye pokrzywdzonych parafian do władzy duchownej. W każdym razie mamy prawo wymagać od prasy, aby takich spraw nie pomijała. Ufam też, że gazety podejmą sprawę germanizacyi w Łysinach i staną w obronie srodze krzywdzonego ludu polskiego.

Rodak.

Z niedoli Galicyi.

I.

Dużo się mówi i pisze o *nędzy galicyjskiej*. W wytykaniu tej już niemal przysłowiowej nędzy mieści się nieraz sporo przesady, ostatecznie jednak zaprzeczyć się nie da, że nędza ta istnieje. Wytworzyło ją niekorzystne polityczno-geograficzne położenie kraju, długoletnie zaniedbywanie jego potrzeb i interesów przez rząd austryacki, obok nienormalnego ukształtowania się w nim stosunków społecznych. O te przeszkody rozbijały się wszelkie wysiłki ludzi dobrej woli, mające na celu podniesienie Galicyi na wyższy stopień dobrobytu. I dziś wysiłków takich nie brakuje. Grono energiczniejszych osób krząta się dziś znów gorliwie około wytworzenia w tym z natury tak bogatym kraju *większego przemysłu*, któryby dawał zarobek ludności, nie mogącej już wyżyć z roli a zarazem pomnażał kapitał krajowy. Skutek tych usiłowań jest i dziś *niestety bardzo mały*. Teraz zaś rozbijają się one głównie — trzeba to wypowiedzieć śmiało — o *indolencyę społeczeństwa galicyjskiego*.

Indolencya ta — to największa niedola Galicyi. Z niej dopiero rodzi się *nędza* materyalna. Warto więc pomówić o niej obszerniej, wskazać na jej *przyczyny, objawy i następstwa*.

I ona jest wynikiem dawnego austryackiego systemu rządzenia i nieszczęsnych dawniejszych stosunków *politycznych*. W pierwszych dziesiątkach lat po ostatecznem przyłączeniu Galicyi do Austryi gorętsze i żywsze umysły tamtejsze myślały tylko o zbrojnych porywach przeciwko pętom niewoli, a nie o podniesieniu *ekonomicznych* stosunków w kraju. System rządowy, polegający na buntowaniu jednej warstwy ludności przeciwko drugiej, uniemożliwiał, a przynajmniej utrudniał ogromnie kooperacyjne działanie.

Gdy później Galicya otrzymała autonomię wewnętrzną, gdy na wewnątrz przynajmniej mogła samodzielnie zabrać się do naprawy swego położenia, tyle trzeba było zmieniać, przeistaczać i naprawiać pod względem politycznym, administracyjnym i narodowym, że praca nad tem absorbowała zupełnie siły umysłowe i fizyczne nielicznego zastępu *światlejszych* obywateli kraju. Dla inteligencyi społeczeństwa otwarły się nagle wszystkie urzędy państwowe i krajowe; było ich tyle, że w początkach brakło nawet ludzi należycie kwalifikujących się do ich zajmowania i do wypełniania połączonych z niemi obowiązków. ,

Autonomią tą cieszy się Galicya już blizko lat czterdzieści. Dała jej ona swobody *narodowe*, dała *polskie szkoły*, dała *wszelką możność narodowego rozwoju* — pod jednym atoli względem zamiast jej dopomódz tylko jej *zaszkodziła* — a to właśnie pod względem *ekonomicznego rozwoju*.

Wiadomo przecie, że my Polacy jesteśmy z natury trochę *leniwi* a bardzo *wygodni*. Tylko tam, gdzie zmusza nas do tego twarda konieczność, umiemy zdobyć się na wysiłki znaczniejsze, na *hart i energię*. Twardą pracą czy to fizyczną czy umysłową niechętnie tylko dobijamy się lepszej doli. A ta wrodzona nasza wada objawia się — z rozmaitych przyczyn, których tu roztrząsać nie będziemy, w *galicyjskiem* społeczeństwie polskiem silniej niż w dwóch innych zaborach.

Gdy więc w Galicyi otwarły się dla Polaków wszelkie stanowiska urzędnicze, dające pewne utrzymanie bez zbytniego wysiłku, pozyskanie takiego urzędu stało się marzeniem przeciętnego Galicyanina. Do handlu i przemysłu mało kto się garnął, bo to zbyt ryzykowne, zbyt moralne zajęcia, więc chociaż te dwie gałęzie zarobkowania dają często więcej, niż posada urzędnicza, bo nietylko utrzymanie ale i majątek, chociaż są osadnikami ogólnego dobrobytu, pozostawiono je obcym lub puszczano *zupełnie odłogiem*. Zarzucana tandetą wiedeńską publiczność galicyjska, gdy jej tę tandetę niemal w dom przynoszono, nie pragnęła zbytnio lepszego

w kratochwili. P. Prochaska w wdzięcznej roli chwackiego Gustawa miał szczęśliwe chwile i wogóle dodatnie pozostawił wrażenie, acz nie da się powiedzieć, aby był wydobył całą finezyę zamkniętą w swej roli. P. Barwiński miał kłopot z rolą sentymentalnego Albina; nie zdołał uwypuklić i wycieniować postaci dawnego, księżycowego Filona. Występu tego nie bierzemy za normę do oceny zdolności tego nowego artysty naszej sceny. Pani Stanisławska miała w popisowej roli Klary zadanie pod każdym względem przechodzące siły młodej artystki. Przedewszystkiem pani St. winna pamiętać, że sztuka aktorska jest sztuką mówienia a szczególnie w sztukach wierszowanych. Jakoż Fredro nie znosi szczebiotania, nie znosi też ruchów nieobliczonych, raptownych, nerwowych. Niejednę usterkę w grze pani St. kładę na karb tremy. Wytknąwszy te braki w jej grze mogę powitać ją jako obiecującą i rozporządzającą dobremi warunkami aktorkę. Pani Barwińska, dość poprawna jako Aniela, nie tchnęła w tę kreacyę dość ciepła. Ze strony wszystkich wykonawców było widać jaknajlepsze chęci a jeśli widowisko nie wypadło lepiej, wina spoczywa głównie we wzmiankowanym wyżej zaniku fredrowskiego stylu.

Następne wieczory poświęcono równie wznowieniom rzeczy znanych a lekkich, — niedzielnych. Dwie farsy przemknęły się przez scenę, nie pozostawiając w nas żadnego echa. „Warszawianka" nie zrobiła tego wrażenia jak wówczas gdy p. Andruszewski odtwarzał Chłopickiego. Z tego tylko względu przedstawienia te zasługują na uwagę, że debiutowały nieznane w Poznaniu siły. Lecz o nich — innym razem.

Roman Pola.

zaspokajania potrzeb, to też nielicznych przemysłowych przedsiębiorstw krajowych należycie nie popierała. Na tym gruncie indolencya ogólna krzewiła się coraz bujniej i coraz głębiej zapuszczała korzenie.

Rok mija za rokiem, ludność mnoży się ogromnie, coraz więcej potrzeba chleba do zaspokojenia jej głodu, lecz w smutnych tych stosunkach *nic się nie zmienia na lepsze.* Przeciwnie *zło wzrasta jeszcze.* Dowodów na to nie brakuje, aż nadto wymownych, a jednym z nich są — sprawozdania galicyjskiej Rady szkolnej o stanie *szkół średnich.* Cóż jedno ma wspólnego z drugiem? zapyta zapewne niejeden z czytelników naszych. Zaraz to wyjaśnimy, a raczej wyjaśnią to przytoczone w dalszym ciągu *cyfry.* One to wskazują dowodnie, w jakim kierunku rozwija się *inteligencya* społeczeństwa galicyjskiego.

* * *

Na cyfry te zwrócił uwagę także lwowski *„Przegląd“*, pismo konserwatywne, lecz trzeźwo oceniające galicyjskie stosunki. Na wnioski zaś, które on z tych cyfr wysunął, najzupełniej zgodzić się możemy.

Lecz przypatrzmy się im sami i oceńmy należycie. Dwa lata temu, w roku szkolnym 1902/3 było w Galicyi 43 szkół średnich, a mianowicie: 35 gimnazyów i 10 szkół realnych. W roku następnym było już 36 gimnazyów, a 10 szkół realnych — razem 46 szkół średnich, zaś w bieżącym roku szkolnym 1904/5 jest 38 gimnazyów,, a 11 szkół realnych, razem tedy 49 szkół średnich, a przytem jeszcze dwa zakłady filialne we Lwowie, jeden z 8 klasami, a jeden z czterema i jeden zakład filialny obejmujący niższe gimnazyum w Krakowie. Ten ustawiczny wzrost liczby gimnazyów i szkół realnych, połączony przytem jeszcze z rozszerzaniem budynków szkolnych i pomnażaniem liczby klas w gimnazyach pochodzi oczywiście stąd, że ustawicznie i to nawet bardzo znacznie *wzrasta liczba młodzieży garnącej się do szkół średnich.* Ten wzrost datuje się od bardzo wielu lat, przed rokiem jednak 1894 bywał z roku na rok niewielki, aż dopiero w owym roku przekroczył pół tysiąca i od tej chwili szybko idzie w górę. Jest to objaw na pozór bardzo pomyślny i doniosły, lecz niestety tylko — *na pozór,* jak to zaraz wykażemy. , W roku szkolnym 1894/5 uczęszczało do szkół średnich w Galicyi 14.069 młodzieży — w ostatnim roku szkolnym było już *20,090,* a więc w dziesięciu latach wzrosła frekwencya do podwójnej cyfry i to jeszcze z nadwyżką 952. Czy w tym samym stosunku wzrosły i warunki *ekonomiczne kraju i poziom ogólnej, ludowej oświaty,* że ten wzrost niezmierny frekwencyi w szkołach średnich stał się *naturalnym i koniecznym wynikiem ..tamtego wzrostu? Oczywiście, że nie!* Co do warunków ekonomicznych, to w ostatniem dziesięcioleciu właśnie, t. j. od roku 1905 począwszy, ustawicznie stają się one trudniejsze. Do czynienia więc mamy tu z objawem do pewnego stopnia *niezdrowym* a conajmniej *nienormalnym.* Niezwykle wysoki coroczny przyrost liczby uczniów w galicyjskich szkołach średnich nie dzielił się oto równomiernie na *gimnazya i szkoły realne.* Przed laty siedmiu i ośmiu był stosunek między obu temi rodzajami szkół taki, że na gimnazya przypadało około 70 proc. przyrostu, na szkoły realne 30 procent. Od roku 1898 proc. przyrostu szkół realnych wytrwale i szybko się zmniejsza. W tych latach ostatnich wynosił on już tylko między 12—14%, podczas gdy na gimnazya przypada około 86—88%. W roku bieżącym przypada na *gimnazya 94%,* a na szkoły realne już *tylko 6%.*

Wspomniany *„Przegląd“* lwowski takie z tych cyfr wysnuwa trafne wnioski:

„Widzimy więc, że od owego czasu po dziś dzień w całym przyroście biorą górę klasyczne gimnazya dające t. zw. *„ogólne wykształcenie“*. Jest to objaw wiele mówiący. To jakby masowe wysyłanie przez rodziców dzieci do gimnazyum pochodzi nie z jasno wytkniętego sobie dążenia do stworzenia dziecku takiej to a takiej egzystencyi w przyszłości, lecz jedynie *z bezmyślnej chęci wepchania go w szeregi t. zw. ludzi wykształconych.* Koniecznemi następstwami tego bezmyślnego postępowania są: pod względem pedagogicznym szkodliwe dla nauki *przepełnienie gimnazyów* i wprowadzenie do nich wielu chłopaków, którzy ani zdolnościami, ani warunkami materyalnemi, ani przygotowaniem nie osiągają tej wysokości, jaką za normalną dla gimnazyów uważać należy. O wiele gorszemi są atoli *następstwa społeczno-ekonomiczne.* Oto rok rocznie wychodzi z gimnazyów czy to po ich zupełnem ukończeniu, czy to po ukończeniu kilku klas wielki zastęp ludzi, którzy z tytułu swoich świadectw uważają się za ludzi wykształconych a przynajmniej inteligentnych i mają *pretensyę do społeczeństwa o odpowiednie do tego stanowska.* A w naszych stosunkach summum takiego stanowiska *to posada w jakimś urzędzie.* W tym kierunku jest jednak *podaż tak nieskończenie przewyższająca istotne zapotrzebowanie,* że rok rocznie władze zmuszone są setkami całemi wrzucać do koszów podania rozmaitych petentów, a tym nawet, których podanie uwzględniają, dać mogą zaledwie bezpłatne posady długoletnich praktykantów.

„Wytwarza się więc — pisze „Przegląd“ dalej — zastęp ludzi, stale ze swego losu niezadowolonych ubogich, wytwarza się *proletaryat inteligentny przeważnie biurokratyczny.* Tymczasem taki młodzieniec, który przez częściowe ukończenie gimnazyum zwichnął sobie życie, lub przez zupełne jego ukończenie osiągnął nędzną egzystencyę, gdyby był nie starał się osiągnąć „klasycznego wykształcenia,“ byłby n. p. *bardzo pożytecznym, z czasem zamożnym a nawet majętnym kupcem, przemysłowcem, a choćby rzemieślnikiem.* Lecz u nas panuje niezdrowe, wprost nieznośne mniemanie, że figurą godną szacunku *jest tylko urzędnik* i tylko on ma byt zapewniony choć lichy i nędzny. Kupiec, rzemieślnik i t. p. są najfałszywiej w świecie uważani za coś, co niegodne jest być przedmiotem aspiracyi rodziców, którzy za cenę największych wysiłków są w stanie dziecko swoje przepchać przez gimnazyum choćby ono było pozbawionem zdolności, wątłem i nawet niechętnem do nauki. *Do kupiectwa, do przemysłu lub do warsztatów oddają swe dzieci tylko ci rodzice, co mimo wszystkich wysiłków ostatnią już stracili nadzieję przepchania syna przez parę klas gimnazyalnych.* Jeśli wytrwale tak postępować będziemy, natenczas oczywiście *dzisiejsze stosunki się nie zmienią;* zastępy niezadowolonych ze siebie i ze swego losu inteligentnych proletaryuszy ustawicznie będą wzrastały, a wszystkie wybitne stanowiska w naszym handlu i przemyśle zajmować będą *ludzie obcy.* Bardzo to smutny objaw“. Przytoczyliśmy tak obszernie to zdanie lwowskiego „Przeglądu“ naumyślnie z dwóch przyczyn: Raz dlatego, że jest trafne, a powtóre, aby korespondenta „Pracy“ nie posądzano o niechęć do Galicyi, lub o przesadę. To co teraz dodamy od siebie, tak samo odpowiada prawdzie, jak powyższe uwagi pisma lwowskiego.

Tak jest — autonomia galicyjska pod tym jednym względem ogromną szkodę wyrządziła społeczeństwu galicyjskiemu, że pozwoliła wybujać aż nadto jego wrodzonej polskiej gnuśności. Dziś to społeczeństwo z trzech tylko warstw się składa: ze szlachty, wiejskiej — *z biurokracyi* i z proletaryatu. Właściwie zaś *biurokracyą* na

pierwszy punkt wysunąć by należało, ona bowiem nadaje *rys charakterystyczny* społeczeństwu galicyjskiemu. Niezależnego zamożnego *mieszczaństwa polskiego* nie ma w Galicyi prawie wcale.

Galicyanin.

Z niwy politycznej.

* * *

W Essen, w wyborach dodatkowych do parlamentu nikt nie uzyskał absolutnej większości i tak przyjdzie do wyborów ściślejszych pomiędzy *centrowcem* p. Giesberts'em a *socyalnym demokratą* p. Gewehr'em, z których pierwszy otrzymał $35^1/_2$ tys. głosów a drugi $28^3/_4$ tys.

Nas obchodzi głównie ile głosów otrzymał polski kandydat p. *Chociszewski.* Według pism niemieckich padło nań głosów 1689, według „Dzien. P." 1723, czyli w porównaniu z wyborami przed dwoma laty oddano w tym okręgu 134 gl. więcej. Wynik ten uważa „Dzien. Pol." za niekorzystny tak pisząc: „Zważywszy, że p. Chociszewski w tymże okręgu otrzymał 1589 głosów przy głównych wyborach w roku 1903, w którym to po raz pierwszy Polacy na obczyźnie głosowali na własnego kandydata, zważywszy dalej liczbę zamieszkałych w okręgu esseńskim górników-Polaków, których statystyka z r. 1903 podaje na 14,744 oraz okoliczność, że cała prawie prasa polska życzliwie poparła zasadę głosowania na swego, podczas gdy w r. 1903 niektóre pisma polskie stawały okoniem, liczba obecnie oddanych głosów na p. Chociszewskiego bardzo niekorzystnie świadczy o narodowem i obywatelskiem uświadomieniu wyborców w esseńskiem."

* * *

Kulturalna niemczyzna zaprezentowała się iście świetnie na wiecu przedwyborczym w *Essen,* gdzie jak w karczmie przyszło do bijatyki. Wiec zwołany został przez zarząd obywatelskiego związku ewangielickiego.

„Zgromadziło się — jak donosi „Wiarus" — około 800 osób, w tem pierwsi interesowani głowacze jak kandydat liberałów dr. Niemeyer, pastor Hasse, pastor Mumm, który przybył razem z kandydatem chrześciańsko-socyalnym p. Behrensem aż z Berlina w imieniu posła pastora Stoeckera i wielu innych.

Zaraz na początku, gdy zabrał głos dr. Niemeyer, powstał na sali wrzask, który zwiększał się z każdą chwilą. „Kulturne" wyrażenia jak „Schwein," „Esel," „Affe," „Schafskopf," „Halunke" i t. d. padały coraz częściej, aż powstał ogólny ryk, który zagłuszył wszystko. Poczem zebrani „kulturnicy" w imię hasła „niemczyzna — to kultura" poczęli się wzajemnie obijać nielitościwie podług wszelkich reguł sztuki.

Pastor lic. Mumm, który pono najwięcej wrzeszczał, został gwałtem wyrzucony za drzwi.

Goniono się też wzajemnie po sali: pastor Hasse ledwie zdołał zbiedz na scenę.

Policyant dozorujący rozwiązał naturalnie zebranie, co nie wiele jednakowoż pomogło.

Adwokat dr. Niemeyer zaznaczył jeszcze, że chodzi przecież o wymianę uczuć patryotycznych.

Zebrani we wielkiej części natychmiast ponownie zastosowali się do słów p. Niemeyera, gdyż bijatyka jeneralna rozpoczęła się na nowo wśród wielkiego ryku i przeciągłego gwizdania, a posinione policzki, nabrzmiałe nosy, oberwane uszy i pono nawet powybijane zęby świadczą, jak gwałtownie „kulturnicy" wymieniali uczucia patryotyczne".

* * *

P. *Bethman Hollweg,* nowy minister spraw wewnętrznych, zapoznawał się z stosunkami u nas, które w najbliższej sesyi sejmu nieraz będą przedmiotem obrad. Patrząc jednak przez szkła tutejszych wyższych urzędników p. minister w czasie krótkiej wizyty nie mógł sobie z pewnością wyrobić sądu niezawisłego i sprawiedliwego o walce niemczyzny przeciwko żywiołowi polskiemu. Gdyby mu było o to chodziło, nie pytając się o pozwolenie hakatystów byłby wybadał sąd wybitnych obywateli *polskich,* którzy mogliby mu przedstawić stan rzeczy zupełnie odmiennie i powiedzieć wiele nowego. Lecz który minister pruski zdobył by się na taki akt samodzielny? Takie oficyalne wizyty mają głównie znaczenie dla tutejszej hakaty, która korzysta z nich, by natchnąć ministra swym duchem i wyżebrać od niego to i owo. Nie ulega wątpliwości, że następca p. Hammerstein'a wyjechał z naszych stron pouczony o doli uciemiężanej przez Polaków niemczyzny!

P. Hollweg przybył do Poznania dnia 12-go b. m. Na powitanie do naczelnego prezesa przybyli przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, świeckich i duchownych, a pomiędzy tymi ostatnimi ks. biskup Likowski i ks. kan. Wanjura.

Następnego dnia p. minister wziął udział w posiedzeniu rady miejskiej. Jedynie miejsca radnych polskich świeciły pustkami, gdyż znając z góry ton oficyalnych przemówień, jakich bez protestu pominąć by nie można, chcieli tem samem zamanifestować swe stanowisko. Gdy p. minister, około szóstej wprowadzony do sali przez burmistrza p. Künzera wraz z naczelnym prezesem i prezesem policyi, zauważył nieobecność radnych polskich powiedział podobno: „musimy się z tem pogodzić". Dotąd jednak Prusacy nie mogą się pogodzić z tem, że Polacy są Polakami.

P. Künzer w powitalnem przemówieniu objaśnił ministra o zdobyczach niemczyzny w ciągu stuleci w tych stronach, dzięki którym „Poznań stał się — według niego — prawdziwie pruskiem miastem." Charakterystycznem jest, że Prusacy przy każdej sposobności szczycą się *zdobyczami;* pochlanianie i niszczenie innych organizmów narodowych uważając za misyą Prusaków.

Z kolei przemawiał p. *Herzberg* w zastępstwie p. radcy Salza, trzymając się spraw ekonomicznych naszego miasta. Prosił ministra, by poparł projekty, od których zawisł rozwój Poznania, a mianowicie projekt przeprowadzenia koryta Warty i regulacyi rzeki.

P. minister w dłuższej odpowiedzi przyrzekł materyalne poparcie rządu, jednakże podniósł, że poszczególne dzielnice według życzenia cesarza powinny starać się o rozwój o własnej sile. O Polakach nie wspomniał p. minister ani słowem, ale powiedział:

„Nie ma organu, w którym *idea państwowa* mogłaby się i powinna ujawnić tak silnie jak w organach samorządu"

— tem samem uznając za dobre, że hakatystyczna idea państwowa panuje w łonie rady miejskiej.

W końcu p. Hollweg upominał, aby nigdy nie schodzono z drogi, jaką cesarz w Gnieźnie wytknął polityce dla „kresów wschodnich."

Wogóle w przemówieniu swem p. Hollweg nie zapomniał, że minister pruski jest sługa tronu.

P. Hollweg oddał między innemi *wizytę ks. arcybiskupowi*, która zapewne nie wyszła po za ramy formalne. Niektóre pisma niemieckie sądzą, że wizyta ta miała związek z niedawnym ok... nikiem ks. Arcybiskupa o przygotowaniu dzieci do św. Sakramentó... lecz jest to nieprawdopodobne.

„Germania“ zaznacza też, że wizyta ministra u ks. Arcybiskupa zapowiedzianą była jeszcze przed wydaniem okólnika, który jest zresztą sprawą czysto kościelną, a pozatem nie należałby nawet do kompetencyi ministra spraw wewnętrznych, tylko do ministra oświaty.

Po wyjeździe z Poznania p. minister bawił w Lesznie w towarzystwie naczelnego prezesa Waldowa, prezydenta rejencyjnego Kramera i prezydenta Komisyi kolonizacyjnej Blomeyera. Na ratuszu witali ministra burmistrz Schwidetzky i radzca sprawiedliwości Wolff. Minister podziękował za przyjęcie, życzył miastu powodzenia, a następnie udał się na obiad do Hotelu Polskiego p. Nitschego. Godzinę później nastąpił wyjazd do Osieczny w celu zwiedzenia okolicznych dóbr Kolonizacyi.

Z Królestwa Polskiego.

Językowi polskiemu zdobyto prawa na kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Dzienniki warszawskie podają, że w wydziale kontroli I. rozpoczęto drukowanie na własnej maszynie biletów osobowych z tekstem polskim na jednej stronie. Bilety w dwóch językach będą rozesłane kasyerom na stacye po wyczerpaniu zapasu biletów z napisami rosyjskiemi. Z drukarni tej korzysta również kolej łódzka dla swoich biletów. Na dworcu głównym, rozpoczęto umieszczanie zewnętrznych napisów polskich, nie wyłączając oddziału pocztowego, przy wejściu do którego, oprócz napisu rosyjskiego, widnieje duży napis „Poczta.“

Tablice zawieszane na wagonach zostały jeszcze uzupełnione polskim tekstem, ma to jednakże w tych dniach nastąpić, jak również mają być umieszczone na wagonach Towarzystwa międzynarodowego, obok napisów rosyjskich tłomaczonych z Sleping car i restaurant, także napisy polskie.

* * *

Trzy wiece młodzieży akademickiej odbyły się w Warszawie w sprawie szkolnej. Młodzież grupująca się w trzech korporacyach „Zjednoczenie,“ „Bratnia Pomoc“ i „Spójnia“ uchwaliła jednomyślnie bojkotowanie uniwersytetu, politechniki i instytutu weterynarskiego aż do czasów unarodowienia tych zakładów. Oświadczono się także za koniecznością bojkotu rządowych szkół średni... h.

„Birzew Wiedom.“ donoszą, że prawo, na mocy którego osoby, trudniące się nauczaniem języka polskiego, pociągane były do odpowiedzialności, zostało zniesione. Obecnie ministerstwo oświaty zawiadomiło o tem władze prowincyonalne i postanowiło przerwać wszelkie sprawy wytoczone z tego powodu przeciw nauczycielom. A zatem nauczanie języka polskiego jest przestępstwem tylko jeszcze w Prusach.

* * *

Ks. Arcybiskup Popiel wystosował do cara list, w którym jako nad grobem stojący starzec i zwierzchnik Kościoła prosi cara, aby dla dobra państwa jak i ogółu polskiego nadał szkołom język wykładowy polski.

List ten miał zawieść do Peterhofu pierwotnie hr. Adam Zamojski, lecz z niewiadomego powodu wręczyli go carowi ks. St. Lubomirski, ks. Janusz Radziwiłł i hr. Wł. Wielopolski.

Czy wstawienie się ks. Arcybiskupa wpłynie na pomyślne rozwiązanie palącej sprawy szkolnej nie można przesądzać. W każdym razie — nie zaszkodzi. Przez akt swój ks. Arcybiskup pragnął widocznie zatrzeć przykre wrażenie, jakie w społeczeństwie wywołał jego list pasterski wzywający do zaniechania dalszego bojkotu rusyfikacyjnej szkoły.

Listy z Westfalii.

Horsthausen, dnia 10. 9. 1905.

W niedzielę dnia 3-go b. m. odbył się w Wanne wiec zwołany przez Związek Polaków przy bardzo licznym udziale rodaków tak miejscowych jak okolicznych.

Przed rozpoczęciem wieca miało posiedzenie prezydyum „Z. P.“ to też zgromadzeni oczekiwali z niecierpliwością wyniku tegoż. Z pośród zgromadzonych dochodziły szmery, szeptano sobie półgłosem: „Co też dzisiaj będzie?“ „Pewno znowu kłótnia!“ „Tych hałasów mamy dosyć“ i t. d.

Wreszcie około godziny 5-tej zasiedli członkowie zarządu na estradzie. Zebranych powitał prezes Z. P. pan Kubiak pochwaleniem Pana Boga i odczytał porządek dzienny. Po odśpiewaniu jednej zwrotki. „Kto się w opiekę,“ zabrał głos p. Schulz z Dümpten i mówił w sprawie opieki duchownej dla Polaków na obczyznie. Przemówienie było treściwe; mówca przez lat 24 przebywa na obczyźnie, napatrzał się zatem dosyć na krzywdy Polaków pod tym względem. W końcu wykazał konieczną potrzebę wysłania deputacyi do Rzymu, ponieważ władze biskupie w obawie przed rządem słusznych żądań Polaków uwzględnić „nie mogą.“ Takie oświadczenie dał arcybiskup koloński deputacyi polskiej.

(Wydaje się to arcynieprawdopodobnem, aby arcybiskup takie miał robić wyznanie. Na sprawę wysłania delegacyi do Rzymu wypowiedzieliśmy nasze zdanie przed kilku tygodniami. Przyp. Redakcyi).

Przewodniczący odczytał rezolucyę, którą przyjęto jednomyślnie, a która wyraża żal z tego powodu, iż lud polski, który wynosi ze stron rodzinnych silne przywiązanie do wiary św., choć w niektórych miejscowościach jest liczniejszy nie ma równouprawnienia z Niemcami. Wiec zatem wyraża przekonanie, iż konieczna potrzeba jest przedstawić tę sprawę w sposób odpowiedni Ojcu św.

Dalej przemawiał redaktor „Wiarusa“ p. Kwiatkowski na temat „stosunek ludu polskiego na obczyźnie do kraju“ oraz o obowiązkach względem niego. I to przemówienie było dość rzeczowe. Mówca rozwodził się dość szeroko o kwestyi emigracyjnej Polaków, oraz o pracach narodowo społecznych na obczyźnie. Nie zaniedbał jednakowoż chociaż nieco ogledniej jak innemi razy wytknąć ciemnotę ludowi polskiemu w kraju, przeciwstawiając rodakom w kraju robotnika polskiego na obczyźnie, który sam z siebie wytworzył potężne i chlubne organizacye.

Nast... ie przeczytał p. K. rezolucyę, która wyraża miłość i przywiązania do kraju, a zastrzega sobie niezależność wobec instytucyi potworzonych na obczyźnie.

Trzecim mówcą był p. Kubiak, który wykazywał w pierwszej części swego przemówienia prace„ Związku“, dla dobra wychodźców, w drugiej zaś stosunek „Związku“ do „Straży“, rozbierając możność pracowania w „Straży“ obok „Związku“ oraz możliwość porozumienia, pomiędzy temi dwoma organizacyami. Następnie odczytał rezolucyę, w której końcowym ustępie jest mowa o popieraniu „Straży“ i wyraźne życzenie najlepszego powodzenia i rozwoju.

Ostatnim mówcą programowym był p. J. Witkowski, który mówił o zadaniach „Związku Polaków“ na obczyźnie.

W dyskusyi przemawiali rozmaici mówcy jako to o wychowaniu dzieci, o dążnościach do zgody; nie brakło też

i takich, którzy zaczęli wygadywać na panków z Poznania i t. d. Charakterystyczny a zarazem ciekawy obrazek o wielkim postępie pod względem oświaty ludu polskiego na obczyźnie dał p. Piotrowski z Schalke, który mówił jakto król pruski Fryderyk Wielki prosił króla Sobieskiego, aby ratował Wiedeń, jakto ojciec św. Pius IX. dał królowi Sobieskiemu błogosławieństwo i t. d. — tem wszystkiem pobudził słuchaczy do wielkiej wesołości.

Niestety pod koniec wiecа dyskusya zaczęła przybierać charakter więcej osobisty, zwłaszcza po przemówieniu pp. Brzeskota i Żnińskiego, gdy p. Kwiatkowski zaczął rozmaite sprawy osobiste wywłóczyć i pomiędzy innemi zaznaczył, ze „Związek“ jest organizacyą a „Wiarus“ organem robotników polskich na obczyźnie. Byłoby może przyszło do ostrzejszej wymiany słów, gdyby przewodniczący dla spóźnionej pory nie był zamknął zebrania.

Dodać wypada, iż na sali było obecnych dwóch przedstawicieli władzy, a lokal był formalnie otoczony całą gromadą policyantów i żandarmów.

R. K.

Tydzień polityczny.

Nareszcie możemy skreślić osobną rubrykę, poświęconą dotychczas wojnie na wschodzie Azyi i jej następstwom. Traktat pokojowy nie jest wprawdzie jeszcze *ratyfikowany czyli podpisany* przez obu cesarzy, *rosyjskiego i japońskiego,* nastąpi to dopiero za kilka tygodni, gdy odnośne dokumenty dojdą do Petersburga i Tokio, lecz o wznowieniu wojny mowy już być nie może. Ostatecznie też na polu walki w Mandżuryi zawarto formalne i faktyczne *zawieszenie broni,* i obustronne armie przygotowują się do powrotu do swoich krajów. Tak więc dziś wreszcie wciągnąć możemy sprawy, które się wiążą jeszcze z tą wojną, *do ogólnej* naszej kroniki politycznej. Opinia publiczna w *Japonii* jeszcze się nie uspokoiła wprawdzie, jeszcze tam odbywa się żywa agitacya przeciwko ustępstwom pokojowym rządu Mikada, lecz dziś już za pewnik uważać można, że z tej burzy *na razie* nie wyniknie nic groźniejszego dla pokoju ogólnego.

Rozgoryczenie zawiedzionego w śmiałych swoich nadziejach narodu japońskiego skrupi się wyłącznie na obecnym gabinecie japońskim i na biednych jego delegatach do układów pokojowych. Od głównego delegata, barona *Komury,* opinia szerokich kół w Japonii żąda zawsze jeszcze, aby popełnił *harakiri,* czyli samobójstwo. Przebywa on dotychczas jeszcze w Ameryce, ponieważ zachorował na cierpienie żołądkowe. Jako człowiek z kulturą europejską żądania swoich ziomków zapewne nie spełni — lecz w takim razie grozi tak jemu jak i innym delegatom po powrocie poważne niebezpieczeństwo.

Nie zabraknie bowiem wśród wzburzonych tłumów zapaleńców, którzy na nich wywrą zemstę za to, że nie zdołali oni wszystkiego osięgnąć, co naród pragnął i roił. Wiadomo zaś z doświadczenia, że w takich razach największa nawet czujność policyi bywa bezsilną i nie zdoła zapobiedz zamachom. I obecny gabinet długo już nie pozostanie przy sterze rządów. Minister spraw wewnętrznych już ustąpił, reszta członków gabinetu ma się podać do dymisyi w jesieni, gdy się zbierze parlament japoński. Większej niewdzięczności nigdy może nie doznał jakikolwiek rząd, który sumiennie spełniał wszystkie swoje obowiązki. Gabinet hr. *Katsury* stał przecie podczas trwania wojny na wysokości swojego zadania; przeprowadził ją zwycięzko, osięgnął sukces, jakiego *przed wojną* Japonia nie mogla się spodziewać. Pod jego rządami państwo to wyrosło nagle na pierwszorzędne mocarstwo, zdobyło sobie uznanie i *znaczenie,* o jakie inne państwa i narody przez całe wieki walczyć muszą. A za to wszystko członkowie rządu tego ustąpić dziś muszą *wśród obelg i złorzeczeń swojego narodu!* Dziwne to widowisko! Odsłania nam ono atoli dobitniej niż wszelkie inne objawy tajniki duszy i charakteru Japończyków, przedewszystkiem ich dziką wprost *energię,* która nie cofa się przed żadnem niebezpieczeństwem, a odniesiony sukces pragnie wyzyskać *do ostatecznych granic.* Zła to wróżba dla państw europejskich. „Żółte niebezpieczeństwo“ przedstawia się coraz groźniej w świetle tych wypadków w Japonii....

Lepsze przyjęcie czeka powracających z układów pokojowych delegatów *rosyjskich.* Opinia publiczna w Rosyi mało już wprawdzie zajmuje się sprawą pokoju, zajęta wypadkami wewnętrznemi i wyborami do *„Dumy państwowej“* — rząd atoli nie omieszka zapewne uczcić należycie tych, którzy dzięki pomocy innych mocarstw ochronili go od większej jeszcze klęski moralnej i materyalnej. O *Wittem* głoszą, że upatrzony jest na prezesa przyszłego gabinetu rosyjskiego. Gabinet ten ma być utworzony jeszcze przed zebraniem się Dumy. I to będzie nowością w Rosyi. Dotychczas bowiem istniały tam tylko *samodzielne* ministerstwa — a prezes t. z. *„komitetu ministrów“* żadnej nad niemi nie miał władzy. Czas rzeczywiście najwyższy, ażeby Rosya otrzymała rząd *bardziej jednolity* i by na jego czele stanął mąż światlejszy i samodzielniejszy. Anarchia w państwie wzmaga się bowiem w przerażający sposób. *Kaukaz* zawsze jeszcze stoi w ogniu, w ogniu *walk rasowych i socyalnych.* Nadchodzące ztamtąd wieści przewyższają okropnością wszystko, co najbujniejsza fantazya za możliwe uważać by mogła. Car nie ufając już widocznie rosyjskim wyższym czynownikom, zamianował namiestnikiem nieszczęśliwego tego kraju księcia *Ludwika Napoleona.* On ma naprawić to, co nabroiła biurokracya, lecz zadanie to trudne bardzo. Car tymczasem zamierza wyjechać na dwa miesiące za granicę, do *Niemiec,* do szwagra swego, *księcia heskiego w Darmsztacie.* Jego zdrowie wymaga podobno dłuższego wypoczynku i wytchnienia po tylu ciężkich przejściach ostatniego roku. Po drodze car ma się spotkać ponownie z cesarzem *Wilhelmem.* Zła to wróżba dla Polaków.

W *Austro-Węgrzech* dzień 15 go b. m. minął spokojniej, niż przewidywano. Gabinet *Fejervarego* już w przededniu podał się do dymisyi, która została przyjętą, i to rozbroiło opozycyą węgierską. Posiedzenie sejmu odbyło się wobec tego bez spodziewanych awantur. Trwało ono zresztą krótko; marszałek odczytał pismo królewskie odraczające sejm ponownie do 10 października, a przywódzcy opozycyi oświadczyli, że zawsze jeszcze stoi ona na pierwotnem swojem stanowisku wobec rządu — i na tem skończyło się wszystko. *Socyalni demokraci* urządzili wprawdzie w dniu tym zapowiedzianą manifestacyą na rzecz powszechnego prawa wyborczego. Około 50 tysięcy ludzi zebrało się przed sejmem, wznosząc okrzyki na rzecz tego prawa, lecz tłumy te rozeszły się spokojnie, gdy marszałek sejmu oświadczył wysłanej do niego deputacyi, iż doręczoną mu petycyą przedłoży sejmowi. Po południu dnia tego wszystko w Budapeszcie wróciło do zwykłego porządku i trybu. Sytuacya jest tam na razie tak samo niejasna i zagadkowa nawet, jak była przedtem. To tylko nie ulega już wątpliwości, że korona, odrzuciwszy projekt rozbicia opozycyi przez zaprowadzenie powszechnego prawa głosowania, zmuszoną będzie poczynić rozmaite ustępstwa na *rzecz wojskowych i narodowych* żądań Madziarów.

Na razie inna sprawa zajmuje żywo prasę węgierską. Jest nią sprawa

owej broszury pod tytułem *„Węgry i Hohenzollernowie,“* o której pisaliśmy obszerniej niedawno w artykule p. t. *„Przyjacielskie usługi.“* Rząd austro-węgierski nie puścił płazem tego ataku na dynastyę *Habsburgów.* Prokuratorya tamtejsza skonfiskowała broszurę i zaczęła poszukiwać energicznie jej *rzeczywistych autorów.* Okazało się wówczas, że pisał ją nie wspomniany dziennikarz Mendel w Berlinie, lecz niejaki *Ziganyi* w Budapeszcie, człowiek moralnie skompromitowany. — Uwięziono go więc zaraz i wytoczono mu proces o *zdradę stanu.* Równocześnie atoli wyszło na jaw, że *po za Ziganim stoją inne wybitniejsze osobistości.* Fama głosi, że i były węgierski prezydent gabinetu a obecnie jeden z przywódzców opozycyi *Banffy* „maczał palce“ w tej sprawie. Jest w niej jeszcze *coś bardzo tajemniczego,* co niemały kłopot zdaje się sprawiać prokuratoryi węgierskiej — bo co chwilę zmienia ona swoje dyspozycye. Proces o tę broszurę zapowiada się wobec tego bardzo sensacyjnie.

W *Wiedniu* nie nastąpiła jeszcze nominacya nowych ministrów. Dnia 26-go b. m. ma się zebrać na nowo *parlament austryacki.* Wówczas też zapewne i w tej kwestyi ministeryalnej zapadnie decyzya ostateczna.

W *Niemczech* na porządku dziennym stoi zawsze jeszcze sprawa *drożyzny i braku mięsa.* Kanclerz książę *Bülow* udał się wprawdzie nad Ren do *cesarza,* lecz jak się zdaje, nie na to, aby przedłożyć monarsze nowe projekty co do usunięcia tej *„klęski mięsnej“*, lecz na to tylko, aby jako *generał* — rangę tę otrzymał przed tygodniem, — wziąć udział w odbywających się tam manewrach cesarskich i przygodach dworskich. Ponieważ zaś minister rolnictwa pan *Podbielski* zbywa w dalszym ciągu domagające się otwarcia granic deputacye interesentów niepochwytnemi obiecankami a nawet drwinkami, oburzenie w szerokich kołach niemieckich wzmaga się z dnia na dzień.

Oburzenie to wyjdzie na korzyść *socyalnej demokracyi.* W niedzielę dnia 17 bm. rozpoczął się w *Jenie* w Turyngii mieście pamiętnem krwawą bitwą za czasów napoleońskich, tegoroczny *walny wiec socyalistów niemieckich.* Zebrało się tam 350 delegatów wszystkich socyalistycznych organizacyi, stawiła się w komplecie także cała parlamentarna frakcya socyalistyczna. Prezesem wiecu wybrano posła *Singera.* Ogólnie przypuszczano, że wiec ten będzie bardzo burzliwy.

Już od lat kilku bowiem dostrzedz można w niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej wielkie *rozdwojenie:* dzieli się ona coraz wyraźniej na dwa obozy — radykalny rewolucyjny i umiarkowany reformowy. Oba te obozy zwalczały się do ostatniej chwili bardzo zawzięcie w prasie a nawet przy agitacyi wyborczej — i to z tym skutkiem, że socyaliści przy odbytych w ciągu ostatnich dwóch lat wyborach uzupełniających stracili trzy mandaty i znaczną ilość głosów. Tymczasem, jak się zdaje — ks. *Bülow* i pan *Podbielski* uporem swoim w sprawie drożyzny znów dopomogą przywódcom socyalnej demokracyi do zażegnania grożącego rozbicia się partyi. Konieczność energicznego a zgodnego wystąpienia przeciwko rządowi w obronie cierpiących niedostatek mas ludności skłoni zwaśnionych towarzyszów zapewne do zaniechania na razie wewnętrznych sporów. *Bebel,* przemawiając w niedzielę na pierwszem posiedzeniu wiecu dał wyraz tej nadziei. Zaznaczył on, że wiec odbywa się w mieście, pod którem przed stu laty w puch rozbito armię pruską i pruskie państwo, pod którem rozbito także *rozpanoszone pruskie junkierstwo.* Jeśli atoli wrogowie socyalnej demokracyi sądzą, że i *ją* spotka tu taka „Jena“ — przykrego doznają zawodu. I rzeczywiście, zanosi się na to, że obecne *rządy Bülowów i Podbielskich znów wyjdą na korzyść jedynie socyalnej demokracyi.* *M. O.*

Przegląd prasy.

Udział Królestwa w Dumie państwowej rosyjskiej, unormowany przez komisyę hr. Solskiego — jest najważniejszą wiadomością, zaćmiewającą wszystkie inne. Cała prasa polska poświęca tej sprawie baczną uwagę i niezawodnie długo pociągną się dyskusye, rozjaśniające szczegóły ordynacyi wyborczej.

Zanim jeszcze poznano tenor ordynacyi tej, warszawska *„Gazeta Polska“* zabrała głos, pisząc między innemi o *kuryi* włościańskiej, wybierającej osobno i to koniecznie z pośród włościan, co następuje:

„Aczkolwiek jesteśmy w zasadzie przeciwnikami wyborów stanowych, zwłaszcza u nas, gdzie niema stanów, niemniej, stojąc na gruncie realnym, nie możemy nie powiedzieć, że te obowiązkowe wybory włościańskie mają obok złych i dobre strony.

„Złem jest w nich to, że właściwie ograniczają one prawo wyborcze włościan. Wobec tak ułożonej ordynacyi, włościanie nie zawsze będą mogli wybrać tę osobę, o jakiej mają przekonanie, że reprezentowałaby ich i broniła ich interesów z największą znajomością rzeczy, z największą bezinteresownością i poświęceniem. Muszą wybrać koniecznie włościanina, choćby osoba, do której mają zaufanie, nie była włościaninem, i choćby w pośród siebie, co się może zdarzyć, nie widzieli odpowiedniego kandydata do godności poselskiej. To oczywiście krępuje swobodę ich wyboru.

„Z drugiej strony jednak obowiązkowe wybory włościańskie tworzą dla tej kategoryi obywateli jakby obowiązkową szkołę życia politycznego. W tej szkole włościanin może prędzej będzie dojrzewał. Może prędzej będzie podnosił swój poziom uświadomienia obywatelskiego“.

„Kuryer Lwowski“ pisze:

„W pewnych kołach naszego społeczeństwa, mianowicie wśród jednej frakcyi socyalistów polskich, oraz znacznej części żywiołów demokratyczno-radykalnych rzucono pospiesznie hasło bojkotowania przyszłej Dumy państwowej.

„Że ta ostatnia jest parodią przedstawicielstwa narodowego, że nie odpowiada najelementarniejszym potrzebom społeczeństwa nietylko naszego, lecz i rosyjskiego — wiemy o tem wszyscy. Nie należy też na instytucyę tę zapatrywać się jako na coś trwałego, lecz oceniać ją trzeba na tle ogólnych stosunków w państwie, jako coś *przejściowego, jako teren nowy, na którym odbywać się będzie walka między przedstawicielami społeczeństw zamieszkujących państwo carów a rządem.*

„Duma państwowa, jakiekolwiek są jej wady, oznacza w każdym razie dopuszczenie pewnej kategoryi przedstawicieli społeczeństwa do omawiania spraw ogólno-państwowych; stanowi więc zawsze *pewien krok naprzód.* Utworzenie tej nowej instytucyi nie uspokoi niezadowolonych żywiołów u nas i w Rosyi i rewolucyoniści różnych odcieni nadal prowadzić będą energiczną walkę z rządem w imię szerokich, ściśle konstytucyjnych reform państwowych.

„Duma umożliwi natomiast żywiołom liberalnym, które i obecnie w walkach ulicznych i terorze nie biorą udziału — opozycyę legalną“.

Uważając Dumę za pierwszy zawiązek parlamentaryzmu *„Kuryer“* sądzi, że —

„Pierwszem zadaniem Dumy będzie rozszerzenie swych praw.

„Usunięcie się żywiołów opozycyjnych od udziału w Dumie przyczynić się tylko może do tego, że w tej ostatniej przewagę zdobędą konserwatyści, którzy pomagać będą rządowi. Kto na tem zyska? Ten ostatni oczywiście.

„Nie trzeba się też wyrzekać tak dobrego środka uświadomienia społeczeństwa, jakim są wybory. Bojkot Dumy jako środek bierny nie ma znaczenia. Rząd rosyjski potrafi ściągnąć podatki i bez zezwolenia Dumy.

„Tak więc nie należy się usuwać od tej ostatniej. Niech opozycya umiarkowana walczy z rządem w Dumie, a rewolucyoniści niech go atakują po

za nią. Wtedy koniec absolutyzmu nastąpi prędzej".

Korespondent *„Dzien. Poznańskiego"* sądzi, że panowie którzy pojechali z listem ks. Arcybiskupa Popiela do cara, wywarli pewien wpływ na to, że nie zmniejszono liczby przedstawicieli kraju polskiego. Jest to jednak całkiem nieprawdopodobnem.

„Dzien. Pozn." daje rodakom za kordonem taką radę:

„Wybierajcie przedewszystkiem Polaków. A polskość ta niech się manifestuje nie przez przynależność do stronnictw polskich, lecz do solidarności polskiego ogółu wobec żywiołów innorodnych. Solidarność, to ostoja niewzruszona, wypróbowana przez nas tak w parlamentaryzmie pruskim, jak austryackim. Miałażby inna zasada dobijać się znaczenia w polskim parlamentaryzmie państwa rosyjskiego?"

O dwieście milionów marek zamierza rząd podwyższyć fundusze komisyi kolonizacyjnej. Podnosząc to, *„Nowa Reforma* pisze:

„Rząd pruski wie, co czyni, na co wyrzuca pieniądze. Każda piędź ziemi stracona przez Polaków w zaborze pruskim, to nowy cios zadany materyalnej podwalinie ich bytu. Pomyślmy tylko: Obie te dzielnice liczą razem około 3 i pół miliona ludności. W tej liczbie przeszło dwa miliony Polaków. Tymczasem na Niemców przypada już dziś około dwie trzecie całej własności ziemskiej w obu dzielnicach.

„Niespełna półtora miliona Niemców posiada 650 — przeszło dwa miliony Polaków 350 mil kwadratowych. Znaczy to, że ogromna większość ludności polskiej w zaborze pruskim jest już dziś proletaryatem bezrolnym, skazanym przeważnie na zarobek u niemieckich pracodawców, zależną od nich materyalnie, wydaną na ich najrozmaitsze wpływy! Każda strata ziemi pomnaża więc szeregi polskiego proletaryatu, zmusza go do wychodźtwa, do rozproszenia się po świecie, podcina środki bytu ludności polskiej w miastach żyjącej z rękodzieł, handlu i przemysłu."

Artykuł „Pracy" o zakulisowych konszachtach księży centrowych na G. Śląsku i projektowanym ich sojuszu z „umiarkowanymi" Polakami powtarza *„Polak"* pisząc od siebie w tej materyi:

„I myśmy się dowiedzieli z źródła zupełnie wiarogodnego o tych konszachtach i *wiadomość „Pracy" musimy potwierdzić.* Ponieważ „Gazeta Robotnicza" swoim sposobem łgarskim swoim czytelnikom niedwuznacznie daje do zrozumienia, że p. Korfanty czyha tylko na kompromis z centrowsami, a mógłby kto pomyśleć, że przykłada rękę do stworzenia partyi polsko-centrowej, w co żaden rozsądny człowiek nie uwierzy, możemy tylko oświadczyć, że p. Korfanty jest zaciętym przeciwnikiem tych konszachtów, i w swoim czasie wszelkich dołoży sił, aby te zamachy na ruch narodowy unicestwić. My wiernie wytrwamy pod sztandarem narodowym i bronić go będziemy do ostatniego tchu życia a mamy nadzieję, że cały lud górnośląski uświadomiony narodowo stanie po stronie naszej i dzielnie nas poprze".

„Nowa Reforma" rozpisując się o tej ważnej sprawie układy te uznaje z góry za bardzo szkodliwe dla ruchu narodowego. Nawet „Orędownik," łaskawie usposobiony dla księży centrowych na Śląsku raczył przemówić. Wychodzi on z założenia zupełnie sprzecznego, że na porozumieniu takiem mógłby ruch narodowy zyskać. Dlatego z ubolewaniem notuje, że

„Pochwyciła to śląska prasa hakatystyczna, mianowicie zażarta „Kattowitzer Zeitung", którą nam w tych dniach z G. Śląska łaskawie nadesłano i narobiła takiej wrzawy, jakoby rzeczywiście porozumienie było przyszło do skutku i zanosiło się na to, że niemieccy centrowcy z Polakami zaczną gwałt zadawać niemczyźnie na Śląsku.

„Na dowód, że nie przesadzamy, przytoczymy kilka ustępów z „Katowicerki" z dnia 14 bm.:

„Z całej „tajnej konferencyi", dowiadujemy się, że centrum razem z Polakami chce jeszcze raz podchwycić w swe ręce samowładztwo na Górnym Śląsku i cały manewr centrowców dąży do tego, aby polszczyznę na G. Śląsku poprzeć, a niemczyznę przy pomocy polskich posiłków przycisnąć do muru (an die Wand drücken)."

W końcu „Katowicerka" woła: „tu Niemcy — tam Polacy" i wzywa niemieckich katolików do opozycyi, by niemczyzna nie znalazła się niezadługo wobec wielkiej polsko-centrowej większości.

Tego artykułu przeraził się „Orędownik," widząc w nim alarmowanie niemczyzny, utrudniające dalsze zachody jego około *porozumienia* (?!), o którem „Orędownik" nie przestaje marzyć. Dlatego „Orędownik" prawi kazanie „Pracy" i „Reformie."

Okólnik ks. arcyb. Stablewskiego, który streściliśmy w ostatnim numerze, przyjęła nasza prasa ludowa niedowierzająco. I tak *„Dzien. Berl."* zauważa:

„Było świętym obowiązkiem ks. Arcybiskupa przeciwko temu nowemu zamachowi wystąpić i nie widzimy powodu, żeby mu zaraz za to w bombastycznych słowach osobno wyrażać wdzięczność, jak to już uczyniły pewne pisma wielkopolskie.

„Tem mniej uważamy to za stosowne, iż absolutnie nie mamy pewności, że w danym razie po słowach nastąpią i czyny".

Nawiązując do tego *„Orędownik"* pisze:

„My się lękliwości „Dziennika Berlińskiego" nie dziwimy, bo na tem polu spotykały nas rzeczywiście same zawody. Z tego jednak naszem zdaniem nie wynika, żeby społeczeństwo polskie i duchowieństwo polskie nie miało korzystać w interesie swej obrony z tych wskazówek, jakie mu Okólnik ks. Arcybiskupa daje — chociaż tylko w granicach przygotowawczej nauki Sakramentów św. Niczego nie trzeba pomijać. Niech tylko prasa ludowa rozgłosi między ludem, co Arcybiskup w Poznaniu mówi o tej nauce, a co mówią i jak postępują księża na Warmii, w Prusach Zach., na G. Śląsku, a nawet w Berlinie, a lud się dowie wielu rzeczy. Sądzimy, że przez to nie utrudni się pracy księżom.

„W powyższym Okólniku — pisze na innem miejscu — ks. Arcybiskup stanął na progu kościoła i to na to, — co mu przyznać należy — żeby przez ten próg nie wpuścić germanizacyi do Kościoła. Dotyczy to wprawdzie jedynie przygotowawczej nauki do Sakramentów św., ale ten jeden jasno określony punkt jest oparty na stałych zasadach Kościoła, nie dopuszczających do żadnego nadużywania Kościoła w celach germanizatorskich.

W *„Polaku"* czytamy:

„Głos arcybiskupa poznańskiego w sprawie tej jest nie tylko dla Wielkopolski nader ważnym, ale i dla nas Polaków ogromne ma znaczenie. Albowiem nigdzie na ziemiach polskich księża nie ulegają tak naporowi germanizacyi jak na Górnym Śląsku. Czynią to z pobudek najrozmaitszych. Jedni są tak lękliwi i tak boją się rządu, że posłuszni są jego życzeniom co do joty. Inni znów popierają system germanizacyjny z całą świadomością, bo sami są Niemcami i chcą lud nasz zniemczyć. Nie brak też takich, którzy z pobudek wcale nie szlachetnych popierają otwarcie prądy germanizatorskie.

„W każdym razie u nas na każdym kroku spotykamy ochronki dla dziatwy pod kierownictwem sióstr miłosierdzia a powstałe za staraniem księży naszych, które germanizują dziatwę polską, u nas niemal w każdej parafii księża pod parciem systemu germanizatorskiego pozaprowadzali nabożeństwa niemieckie dla dziatwy szkolnej, chociaż ona jest polską, u nas księża miejscami, bo wszystkim tego zarzutu robić nie można, sami dobrowolnie dziatwę biorą na naukę niemiecką do sakramentów św., a księży takich, którzyby w myśl słów arcybiskupa poznańskiego polskie dzieci na polską naukę brali na palcach można policzyć".

I prasa niemiecka omawia okólnik arcybiskupi mniej lub więcej obszernie. Nawet „Pos. Tag." nie może odmówić mu słuszności. Katolicka *„Schl. Volksztg."*, podając okólnik w całości, występuje przeciwko hakatystom, chcącym z Kościoła zrobić narzędzie germanizacyi i pisze:

„Gdyby wpływów Kościoła chciano użyć dla politycznych prądów, to jedynem tego następstwem byłoby to, że lud polski zatraciłby zupełnie za-

ufanie do Kościoła, to lud polski odsnąłby się niewątpliwie od swej władzy duchownej, gdyby władza duchowna pod naciskiem rządu jego narodowość krzywdziła".

O głośnem rozporządzeniu inspektora szkolnego, zabraniającego dzieciom nauczycieli Polaków pobierania nauki przygotowawczej do sakramentów św. w języku ojczystym, pisze *„Pos. N. Nachr.“* :

„Oceniając bezstronnie rozporządzenie to, przyznać musimy, że jest to *bardzo fałszywy* krok, który niemczyźnie żadnej nie przyniesie korzyści, a wielkie wywoła rozgoryczenie w kołach odnośnych nauczycieli. Dotyczy ono sprawy, która *z szkołą nic niema wspólnego,* odnosi się jedynie do życia rodzinnego i przygotowania dzieci do spowiedzi poza szkołą; w tym przypadku nie zewnętrzne polityczne względy, ale wewnętrzne usposobienie dziecięcej duszy powinno być miarodawczem. Jeżeli rozporządzenie to ma przeszkodzić niebezpiecznym politycznym wpływom przy nauce przygotowawczej do Sakramentów św., to z celem się rozmija, bo wpływy tego mogą działać tak samo przy niemieckim, jak i polskim wykładzie. Żądania inspektorów szkolnych nie podobno pogodzić z wygłoszoną w Gnieźnie przez cesarza zasadą, że wolność religijna przez polityczne środki nie ma być katolikom ograniczaną.

„W jaki sposób wolność ta ma się okazywać, jeżeli nie w wykonywaniu pewnych przepisów religijnych poza szkołą? Zdaniem naszem, zbyt często bywa nadużywanem pojęcie „godności pruskiego urzędnika“ a mianowicie tam, gdzie żadnych nie ma powodów do zaznaczenia politycznego szowinizmu. Do czego zaś ma to prowadzić? Do wzniecenia niemieckiego poczucia z pewnością nie. A więc do czego?“

W stosunkach panujących tu, *zuchwałość nauczycieli germanizatorów* przybiera wprost skandaliczne rozmiary. Charakterystyczny objaw tejże podaje *„Gaz. Kośc.“* z Wijewa, w powiecie wschowskim:

„Pan Ręglewski obywatel wijewski posłał córkę swoją po sprawunek do gościńca. Przy wejściu na schodach stał tamtejszy młody nauczyciel Styber. Ten zadał dziewczęciu oczywiście nie po polsku, jakieś pytanie, gdy mu dziewczę nie odpowiadało, *wymierzył mu policzek.* Wróciwszy do domu, dziewczę opowiedziało swoje zdarzenie rodzicom. Ojciec też zaraz udał się do lokalu i zapytał się nauczyciela, kto mu pozwolił córkę jego po za szkołą bić. W tem uczynił się wielki rozruch, wkroczyła policya i odprowadziła owego nauczyciela i p. R. do domu. Działo się to w czwartek 7 września. — Z powyższego opisu wynika, że dziewczę widocznie jeszcze chodzi do szkoły. Pomimo tego postępowanie nauczyciela jest niesłychaną prowokacyą, bo żadne prawo nie pozwala mu bić dzieci — po za szkołą.“

Miłe stosunki!

Redakcya.

Składka na fundusz wyborczy górnośląski
na okręg katowicko-zabrski.

W dalszym ciągu złożyli na fundusz powyższy: pp. poseł Maciej hr. Mielżyński z Chobienic 1000 mrk: akademik 50 fen; „Sokół“ z Wanne 19 mrk. 10 fen; z Poznania: N. N. 1 mrk; A. 1 mrk; B. G. 50 fen; Serdecki 50 fen; Szrajbrowski 50 fen: Kryszkiewicz 1 mrk; Dychtowicz 1 mrk; L. M. 50 fen; B. P. 1 mrk; K. 1 mrk; N. N. 1 mrk; Kl. 50 fen; N. N. 1 mrk; N. N. 1 mrk; N. N. 5 mrk; T. W. 1 mrk; N. N. 50 fen; T. M. 1 mrk; W. Ł. 1 mrk; B. 50 fen; N. N. 3 mrk; Baranowski 1 mrk; N. N. 50 fen. N. N. 50 fen; L. Frankiewicz 1 mrk: zebrane w Poznaniu przez gości u p. Genslera dnia 17-go b. m. 5 mrk, 71 fen., zebrane w Poznaniu dnia 20-go bm. w hotelu francuzkim 16 mk. 5 fen.

Razem z poprzedniemi złożono dotychczas u nas na cel powyższy do dnia 20-go b. m. włącznie 1302 mrk. 86 fen.

Z tej sumy wysłaliśmy do Śląska na ręce p. mecenasa Adamczewskiego w Katowicach 1) dnia 18-go b. m. 235 mrk 10 fen; 2) dnia 19-go b. m. 1000 mrk, pozostały zatem 68 mrk. 76 fen.

* * *

Walka wyborcza w okręgu katowicko-zabrskim rozegra się już 12-go października, a Komitet nie posiada dotąd żadnych większych funduszów, więc — jak słusznie pisze korespondent K. Wł. R. w artykule p. t. „Wybory na G. Śląsku a ofiarność polska“, zamieszczonym w gazetach poznańskich i prowincyalnych — *tutaj pomódz musi cały zabór pruski od Pucka do Mysłowic, inaczej nie będzie pieniędzy na najżywotniejsze potrzeby.*

„A jakież to potrzeby? Trzeba 1) drukować, rozsełać, rozdzielić przynajmniej z 200 000 kartek kandydackich, 2) opłacić roznosicieli i agitatorów, bo lud śląski jest biedny i agitator opuszczający pracę w kopalni, hucie lub warsztacie musi otrzymać wynagrodzenie, inaczejby głodził swoją rodzinę, 3) trzeba wykupić listy wycorcze na jakie 60 000 zapisanych wyborców, aby w dniu wyborów módz nawet opieszałych sprowadzić do urny, 4) trzeba rozpowszechnienia przynajmniej ze dwa razy jeszcze po 100 tysięcy odezw Komitetu, bo centrowcy i socyaliści zaczynają agitować energicznie. Oto mniej więcej prace nieodzowne, bez których nie ma szans dla młodego ruchu narodowego na Śląsku. Potrzeba na to 5—6000 marek, a ile dotąd zebrano? Dzięki ofiarności jednostki aż całe 1500 marek!!“

Walka wyborcza w okręgu katowicko-zabrskim rozegra się nie jedynie o mandat poselski, ale o samodzielny byt narodowego ruchu na Górnym Śląsku, w walce tej nie będzie jedynie chodziło o zwycięstwo posła Korfantego, lecz także o podtrzymanie idei narodowej w prastarej Piastów dzielnicy. Ztąd wybory na Górnym Śląsku powinny zainteresować do żywego każdego Polaka, to też zwracamy się ponownie do Szanownych naszych Czytelników, by na cel powyższy złożyli choć najdrobniejsze kwoty, ale bezzwłocznie, gdyż szybka pomoc niezbędna.

O nadsyłanie dalszych składek gorąco prosimy.

Wiec „Straży“
dla powiatu leszczyńskiego

odbędzie się dnia 24-go b. m. o godz. 4-tej po południu w Osiecznie na sali p. Pieczyńskiego.

Na wiecu przemawiać będzie poseł p. Maciej hr. Mielżyński.

Towarzystwo polskich śpiewaków

„Lutnia“ w Bremie

obchodzi w niedzielę 24-go b. m. na sali p. Brüggemanna, przy ul. Północnej Nr. 273 IV. rocznicę swego założenia.

Program:

1) Po przywitaniu gości przemowa p. Klatta na temat: „Cudze rzeczy wiedzieć dobrze, swoje się należy.“

2) Śpiewy wykonane przez członków „Lutni.“

3) Amatorskie przedstawienie teatralne: „Gwiazda Syberyi,“ dramat w 3-ch aktach przez Leopolda hr. Starzeńskiego.

4) Żywe obrazy.

5) Zabawa z tańcami urozmaicona deklamacyami i śpiewem.

Uprasza się szanownych rodaczek i rodaków o jak najliczniejszy udział.

Zarząd.

Początek o godzinie 4-tej po południu.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Bank Ziemski.

Na sesyi Rady Nadzorczej Banku Ziemskiego dnia 15-go b. m. nastąpił wybór członka Zarządu w miejsce zmarłego śp. dr. Kalksteina.

Wybrano jednomyślnie adwokata p. Zygmunta Rychłowskiego z Poznania a zastępcą adwokata p. Józefa Koperskiego z Poznania.

* * *

Dowiadujemy się, że *Bank Ziemski* kupił od pp. Marchlewskich w Rudkach w powiecie Świeckim folwark w obszarze ca. 360 mórg dobrej ziemi z ładnemi łąkami i dobrymi budynkami.

Sejmik Spółek odroczony!

Zapowiedziany na 25, 26 i 27-go b. m. do Pelplina Sejmik Spółek, *nie odbędzie się* wskutek zakazu władzy, wydanego ze względu na niebezpieczeństwo cholery.

Swego czasu powiadomię Spółki, kiedy Sejmik się odbędzie.

Poznań, dnia 15 września 1905 r.

Ks. Wawrzyniak, Patron Spółek.

Drobnostka.

Siedzę sobie wczoraj w „Przemyśle" i studyuję najpoważniejszy organ, aż naraz wita mnie miły głos pana X., poważanego i szanowanego kupca, który nie czekając odpowiedzi na swoje powitanie, grzmi mi w delikatne i wrażliwe ucho: „Przecież ich zmusiłem!" „Kogo, panie kochany, do czego?" — pytam zdziwiony, nie wiedząc o jakich tu „ich" chodzi.

— Czy nie opowiadałem panu o „Maggi?"

— Nie przypominam sobie — odpowiadam z miną jeszcze bardziej zdziwioną.

— Więc słuchaj pan — rzecze mój towarzysz i opowiada mi o swojem świeżem zwycięstwie narodowem.

— Sprawa ma się tak: do składu swojego potrzebuję bardzo wiele „Maggi" i jestem jednym z najlepszych odbiorców odnośnej fabryki. Ale cóż — nasyłają mnie wciąż niemieckimi plakatami reklamowymi. Sprzykrzyło mi się to przecież, bo proszę pana, jeżeliby mi przysłali raz, to uważałbym to za pomyłkę, ale ciągłe obdarzanie mnie niemieckimi plakatami zakrawa na naigrawanie się ze mnie i z moich odbiorców. Piszę zatem do firmy list tej treści:

„Dziwi mnie niezmiernie postępowanie Szanownych Panów. Z każdą przysyłką „Maggi" otrzymuję plakaty reklamowe zredagowane w języku niemieckim. Nadal nie mogę ścierpieć takiego postępowania i proszę o odwrotne nadesłanie mi plakatów polskich.

„Zechciejcie Szanowni Panowie zważyć, że jesteście dostawcami firmy polskiej w kraju polskim, i że we własnym ich interesie leży poszanowanie naszych uczuć narodowych. Nadmieniam, że odbiorcy moi oburzeni są z powodu wspomnianych plakatów i oświadczają mi, że obejdą się bez „Maggi," jeżeli nie postaram się o zmianę w pożądanym kierunku."

„I nadesłali odwrotnie — przestraszeni zwłaszcza ostatnim zwrotem, że odbiorcy wyrzekną się używania ich towaru." — Kończąc znajomy poczęstował mnie kordyalnym szturchańcem w lewe ramię.

* * *

Szturchaniec musiał być jednak nie zbyt delikatny, bo — obudziłem się, widząc obok łóżka przyjaciela, czyniącego mi „z miejsca" wymówki, że zamiast oczekiwać go, celem udania się na umówioną przechadzkę, wyleguję się w najlepsze. A więc to tylko był sen. — Tak być powinno, ale tak nie jest niestety.

„Maggi, bester Zusatz i t. d.," Hamburg-America Linie, Vergnügungsfahrten i t. d.," „Die Casse zeigt ihre Zahlung" gdzie się obejrzeć, wszędzie spotka się tego rodzaju plakaty. Ten kupiec, z Polaków tylko żyjący, wywiesza niemiecki plakat hambursko-amerykańskiej linii, ów drogerzysta lub kupiec kolonialny zaprasza do składu polskich odbiorców niemieckiemi ogłoszeniami „Maggi," a u wielu większych kupców płacąc za towary przy opuszczaniu składu wprost zmuszeni jesteśmy drażnić wzrok hieroglifami „Die Casse zeigt ihre Zahlung." — To tylko trzy przykłady — a jest ich mnóstwo.

Są wyroby niezbędne w gospodarstwie domowem, warsztacie i t. d., których polskie firmy nie wyrabiają i które z tego powodu składy detaliczne zmuszone są sprowadzać od obcych. Zamawia więc kupiec Polak w niemieckiej firmie dane wyroby, przysyłają mu towar dołączając plakaty niemieckie oczywiście, a kupiec plakaty wywiesza nic sobie przytem nie myśląc.

Mam wrażenie, jakoby kupcowi zdawało się, że przedsiębiorstwo niemieckie, zwłaszcza gdzieś w [illegible] Niemiec istniejące, nie potrzeb[illegible] jest zobowiązane do tego, aby p[illegible]ich odbiorców po polsku obsługiwać, że byłoby to wielkiem ustępstwem, gdyby firma niemiecka korespondowała z odbiorcą Polakiem w języku polskim lub przysyłała plakaty reklamowe polskie. Że kupcy lekceważą tak sprawę, to mniejsze zło, bo stanowią małą część społeczeństwa; natomiast przykrym objawem jest to, że publiczności kupującej nie razi to ignorowanie naszego języka.

Głupstwo! — powie przeciętny poczciwiec — plakatami Polski nie zbawimy, i dalej będzie sobie zaprawiał zupę niemiecką przyprawą. Proszę bardzo, domaganiem się zapisania na urzędzie stanu cywilnego końcówki polskiej również nie zbawimy Polski, a jednak tego żądamy. Obrona praw narodowych i postęp polskości na różnych wielkich i małych opiera się pracach i zdobyczach i mamy obowiązek opierać się wszelkim zakusom zakrojonym na uszczuplenie naszego stanu posiadania pod każdym względem. [illegible] sprawa owych plakatów jest jedną z owych drobnych łagodnych dążności giermanizacyjnych, może nieświadomych. Przyzna każdy, że jest to środek giermanizacyjny.

Kto tu winien?

Najpierw publiczność, czyli obojętność publiczności. W tej niesłusznie jako nic wartej okrzyczanej Galicyi, społeczeństwo nie ścierpi takiego postępowania i umie wywrzeć odpowiednią presyę na kupców. U nas inaczej — u nas, w zaborze pruskim, który „tak dzielnie walczył z naporem giermanizacyi."

Dalej winni są kupcy.

Nie pojmuję po prostu jak kupcy mogą tolerować takie zachowanie się firm niemieckich. Ze strony przedsiębiorstw niemieckich jest to bowiem zwykłe ignorowanie odbiorcy i całego społeczeństwa.

Dalej przedsiębiorstwo niemieckie uważa Księstwo za kraj niemiecki, a odbiorca nie zwróci mu odpowiednio uwagi na tę „omyłkę." Zachodzi wi[illegible] w tym wypadku ze strony kupców fakt wielkiej obojętności i niedbalstwa. — Dodam jeszcze, że wszystkie firmy niemieckie, które odbiorców w Księstwie nasyłają wyłącznie niemieckimi plakatami, *do Galicyi* wysyłają plakaty *tylko* w polskim języku zredagowane.

Niby nic!....

Cep.

ROZMAITOŚCI.

345 przypadków znęcania się nad żołnierzami. W lipcu r. b. szeregowiec pułku grenadyerów gwardyi królowej Augusty w Berlinie, Jaspers, usiłował popełnić samobójstwo w koszarach. Ciężko ranionego przewieziono do koszar, gdzie po kilku tygodniach walki ze śmiercią przyszedł nareszcie do zdrowia. Przeprowadzone z tego powodu śledztwo wykazało, że Jaspers usiłował zabić się pod wpływem rozpaczy z powodu znęcania się nad nim podoficera Thaua. Aresztowano więc winnego, przesłuchano innych żołnierzy kompanii, w której Jaspers służył, i oto zdołano stwierdzić 345 przypadków strasznego wprost znęcania się podoficera nad powierzonymi sobie szeregowcami, oprócz 106 przypadków nadużyć służbowych, okazało się bowiem, że Thau wymuszał od żołnierzy pożyczki w sumach od 5 fenigów do 6 marek. Wzorowego tego przedstawiciela armii „państwa bojaźni Bożej“ sądził w tych dniach w Berlinie sąd wojskowy drugiej dywizyi gwardyi. Po przesłuchaniu licznych świadków, skazano Thaua na degradacyę i $1^1/_2$ roku więzienia. Kara, prawdę powiedziawszy, zbyt łagodna.

* * *

Straszliwa egzekucya. Niedawno schwytano po zażartej bitwie w chińskiej prowincyi Kwang-si jednego z przywódzców oddziałów powstańczych. Skoro dowiedział się o tem zarządzający tą prowincyą generał-gubernator Cen, udał się natychmiast do Wuczu, chcąc sam pokierować wykonaniem wyroku śmierci nad uwięzionym wodzem bokserów, którego tymczasem trzymano w ciasnej klatce. Egzekucya miała się odbyć na olbrzymim placu, gdzie już zawczasu zgromadziły się dziesiątki tysięcy widzów oraz wszyscy mandaryni miasta. Skazany zachowywał się spokojnie, choć czekała go straszna kara: miał być poćwiertowany na 10,000 kawałków. Trudno wdawać się w szczegóły ohydnego katowania nieszczęśliwego. Dość powiedzieć, że niektórzy Chińczycy, słynni z bezwrażliwości, nie mogli znieść okropnego widowiska odcinania po kolei wszystkich członków skazanego, który nie wydał w tych mękach najcichszej skargi, najmniejszego jęku. Wreszcie odcięto mu głowę, a serce, z piersi wydarte, zaniesiono gubernatorowi. Urzędnik ten rozciął je, wpuścił z niego krew do filiżanki z herbatą i wypił; dwaj inni mandaryni poszli za jego przykładem. Inni odmówili napoju. Straszne obyczaje.

* * *

Konkurs pokojowy. Stale międzynarodowe biuro pokoju w Bernie rozpisało konkurs na nagrodę Narcyza Thibaulta w sumie 1500 fr. Uczestnicy konkursu mają odpowiedzieć na pytania następujące: „Jakie warunki winien spełnić międzynarodowy sąd rozjemczy, aby wytworzyć system zupełnej sprawiedliwości wśród narodów? Jakie traktaty międzynarodowe muszą być zawarte, aby ten system był dla wszystkich narodów możliwy do przyjęcia, i w jaki sposób można najszybciej dojść do zawarcia tych traktatów“ Oprócz nagrody, przyznane będą wzmianki zaszczytne, a praca odznaczona wydrukowana będzie kosztem biura. Prace mogą być pisane po francusku, niemiecku lub angielsku i winny być przesłane przed dn. 30-ym grudnia r. b. do biura pokoju w Bernie.

* * *

Tunel Simplon. „Electrotechnische und Politechnische Rundschau“ komunikuje interesujące dane liczbowe o budowie hotelu w Simplon, mianowicie: długość sztolni północnej wynosiła 10,382 metry, południowej — 9,388 m., długość tunelu 19,770 metrów. Przy przebijaniu tunelu od strony północnej wyrzucono 570,000 metrów sześciennych rozmaitych pokładów ziemi, od strony południowej 500,000 met. sześciennych. Do usunięcia takiej ilości ziemi trzeba było zrobić 155,000 wierceń maszynowych. Ręcznie wybito na części północnej 1,5 miliona otworów, na południowej 2,100,000. Do wykonania tej pracy zużyto 1,980,000 maszynowych świdrów i 23,950,000 ręcznych. Do rozsadzania pokładów górskich zużyto 552,000 kilogramów dynamitu od strony północnej i 790,000 kilogramów od południowej. Przy prowadzeniu robót ogółem wypompowano 104 i pół miliona metrów sześciennych wody. Wypompowana ilość wody mogłaby utworzyć rzekę długości 104 kilometrów, 100 metrów szerokości i 10 metrów głębokości.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Człowiek niewidzialny.

Przekład z angielskiego.

11

(Ciąg dalszy).

Podniosłem się. Z początku czułem się tak słaby, jak nowonarodzone dziecko. Ogromnym wysiłkiem woli zawlokłem się do aparatu, ażeby dokończyć zupełnej przemiany. potem spałem do południa, aż obudziło mnie dobijanie się do drzwi. Usłyszałem pod drzwiami szeptanie. Zerwałem się i zacząłem tak cicho, jak tylko było można, rozkręcać aparaty i rozdzielać części po pokoju, ażeby nie można skombinować, jak były ustawione.

Stukanie do drzwi ponowiło się; rozróżniłem głos gospodarza i dwa inne. Aby zyskać na czasie, odezwałem się. Potem porwałem niewidzialną materyę i poduszkę i wyrzuciłem je przez okno na drewnianą pokrywę wielkiej kadzi na wodę, która tam stała. Otworzywszy okno, usłyszałem mocne uderzenie w drzwi. Chciano odbić zamek, ale doskonałe zasuwki, które kupiłem przed kilku dniami, przeszkodziły temu. To mnie wystraszyło i rozzłościło, zacząłem się spieszyć nerwowo.

Pozrzucałem razem niepotrzebne papiery, słomę i inne rzeczy na środek pokoju i skręciłem gaz. Walono coraz mocniej do drzwi. Wyszedłem przez okno na pokrywę kadzi, zamknąłem cichutko okno i czekałem, bezpieczny i niewidzialny, ale drżący ze złości, na dalsze wypadki. Widziałem jak wyłamali drzwi i weszli do pokoju, gospodarz i dwaj jego synowie, — za nimi wcisnęła się stara czarownica z dołu.

Możesz sobie wyobrazić ich niemałe zdziwienie, gdy nie zobaczyli w pokoju nikogo. Jeden z młodych ludzi zaraz pobiegł do okna, otworzył je i wytrzeszczył oczy. Jego twarz, z grubemi, wydatnemi wargami była o stopę odemnie; musiałem się powstrzymać, ażeby mu pięścią nie rozbić nosa. Patrzył on przezemnie. Stary zajrzał pod łóżko, a potem wszyscy pobiegli do szafy. Bez przerwy przytem szwargotali mieszaniną żydowskiego i londyńskiego żargonu. Przyszli do przekonania, iż musiało im się tylko zdawać, że ja im odpowiedziałem z pokoju. Stary i baba z dołu utrzymywali, że jestem wiwisekcyonistą, synowie zaś, powołując się na maszyny, przypuszczali, że zajmuję się elektrotechniką. Byli niespokojni, co się stanie, gdy powrócę, choć przekonałem się, że zamknęli drzwi domu.

Przyszło mi na myśl, że gdyby ktoś, znający się na rzeczy, zobaczył moje radiatory, mógłby się za wiele domyśleć. Korzystając więc z pierwszej sposobności, wszedłem napowrót do pokoju i wywróciłem oba dynamo tak, że się rozbiły. Nie potrzebuję opisywać przerażenia moich nieproszonych gości.

Wymknąłem się z pokoju i czekałem na dole na ich powrót. Wrócili na koniec, niezadowoleni, że nie znaleźli żadnych strasznych rzeczy i niespokojni o skutki prawne swego wtargnięcia.

Ja natychmiast pospieszyłem z pudełkiem zapałek, złożyłem krzesło i siennik na kupę słomy i papieru, którą ułożyłem przedtem, i zapaliłem wszystko.

— Ależ w ten sposób wznieciłeś pożar w domu? — zawołał Kemp z przerażeniem.

— Pożar w domu! To był jedyny sposób zatarcia śladu za sobą, a oczywiście dom musiał być zabezpieczony.. Wyszedłem po cichu z domu. Byłem niewidzialny i snułem plany przeróżnych dziwnych rzeczy, które mogłem teraz robić bezkarnie.

ROZDZIAŁ XXI.

W Oxford Street.

Schodząc na dół, uczułem niejaką trudność w tem, że nie widziałem moich nóg, ale prędko przyzwyczaiłem się do tego. Byłem niezmiernie podniecony i miałem ochotę straszyć ludzi, klepiąc ich po ramieniu i zrzucając im kapelusze. Ledwie jednak wyszedłem na drugą ulicę, uczułem gwałtownie popchnięcie z tyłu i usłyszałem brzęk szkła. Człowiek, niosący koszyk, pełen syfonów, natknął się na mnie, a teraz ogłupiały, patrzył na swój koszyk. Śmiałem się głośno i zawołałem: „dyabeł jest w koszyku". Człowiek natychmiast uciekł, zostawiając w mem ręku koszyk, który wyrzuciłem w powietrze. Ale jakiś głupi woźnica, wychodzący z szynkowni, skoczył w tę stronę i swą wyciągniętą ręką uderzył mnie gwałtownie w ucho. Koszyk spadł na niego, wszczął się hałas, ludzie zaczęli wybiegać, powozy się zatrzymywały. Przeklinałem moją nieostrożność; z wielką biedą wydobyłem się z ciżby i, nie czekając, jak tam będzie załatwiona ta sprawa, wmieszałem się w tłum przechodniów wieczornych w Oxford Street. Chciałem iść razem z nimi, ale deptano mnie po piętach; próbowałem iść w rynsztoku, ale nogi mnie bolały, a dyszel fiarka, otarłszy się o mnie, przypomniał mi, że już miałem spotkanie z koszykiem. Usunąłem się przed fiakrem, obszedłem wózek dziecinny i znalazłem się za jakimś powozem. Tu było wygodniej iść, tylko dokuczało mi bardzo zimno. Przez dziwne zapomnienie robiąc się niewidzialnym, nie pomyślałem o tem, że, pomimo tego będę cierpiał zimno, nie mając na sobie ubrania. Świetna myśl przyszła mi do głowy i wskoczyłem do powozu. I tak, trzęsąc się ze zimna i sapiąc z poczynającego się kataru, jechałem wzdłuż Oxford Street. Moje usposobienie zupełnie się zmieniło. Taka to jest niewidzialność! Dziękuję za nią...

Jechaliśmy wolno obok wypożyczalni Mudie'go; pani jakaś, z czterema książkami, skinęła na woźnicę i wsiada do powozu, a ja ledwo miałem tyle czasu, aby wyskoczyć z drugiej strony i o mało nie wpadłem na przejeżdżający tramwaj. Pobiegłem w stronę Bloomsbury Square, chcąc się dostać w spokojniejsze strony, a tak byłem zziębnięty i zdenerwowany dziwnem mojem położeniem, że szlochałem, idąc. Przy jednym z rogów skweru, pies jakiś wybiegł z znajdującej się tam apteki i natychmiast udał się za mną z nosem przy ziemi. Węch dla psa jest tem, czem oko dla człowieka. Pies zaczął szczekać i ujadać na mnie. Uciekłem znowu i wpadłem na armię zbawienia, idącą naprzeciw mnie całą gromadą z muzyką, śpiewem i powiewającemi chorągwiami. Szczęściem pies przeląkł się ich hałasu i zawrócił, a ja wstąpiłem na kamienne, śniegiem przyprószone schody jednego z domów, ażeby tam przeczekać przejścia tej całej, wrzeszczącej bandy. Wtem usłyszałem dwóch uliczników, którzy stanęli w pobliżu tych schodów; uwagę ich zwróciły ślady mych nóg w śniegu. — „Ot tutaj ktoś wszedł bosemi nogami na te schody, a niema znaków, że zszedł" — mówił jeden. — „A tam, patrz tylko, tam stoi, jakby jakaś noga z mgły!" — i wyciągnął ręce, żeby się dotknąć. Jakiś przechodzień zatrzymał się, żeby zobaczyć, na co oni patrzą, potem stanęła dziewczyna. Śmiałym krokiem znalazłem się na dole. Ale mniejszy ulicznik był zanadto przenikliwy. — „O! O! patrzcie, teraz nogi są na dole". — Wszyscy zwrócili się na dół i zobaczyli znaki moich nóg na śniegu.

— Co tu jest takiego?

— Nogi, nogi, ślady nóg!

Szczęściem główna część publiczności biegła za armią zbawienia. Kilku tylko goniło za mną; obiegłem około rogu, przebiegłem przez ulicę i nakoniec udało mi się pozbyć moich prześladowców. Odetchnąłem trochę i otarłem ręką śnieg z nóg; śnieg, który robił je nieco widzialnemi. Ten mimowolny ruch przy ucieczce rozgrzał mnie trochę, ale bolały mnie plecy i nogi; skaleczyłem się w nogę i kulałem. Każdy pies przechodzący nabawiał mnie strachu.

Wtem ludzie zaczęli tłumnie gdzieś biegnąć, wrzeszcząc: gore! gore! Biegli w kierunku mojego mieszkania; przy wylocie jednej ulicy, przekonałem się, że to rzeczywiście palił się dom, w którym mieszkałem. Moje suknie, moje aparaty, wszystko, co posiadałem, oprócz książeczki czekowej. Literalnie, spaliłem moje okręty za sobą!

Niewidzialny zatrzymał się i zamyślił. Kemp niespokojnie spojrzał w okno.

— I cóż dalej? — rzekł. — Opowiadaj!

ROZDZIAŁ XXII.

W Omnium.

Tak więc ostatniego stycznia, przy początku śnieżycy, która mogła trwać dłuższy czas, znalazłem się na bruku, bez mieszkania, bez nikogo przychylnego na świecie, zmęczony, zziębnięty i zrozpaczony. Jedyną moją myślą było wyszukać sobie natychmiast schronienie, gdziebym mógł opamiętać się i odpocząć trochę. Domy londyńskie szczelnie pozamykane, nawet dla niewidzialnego człowieka, były niedostępne. Wtem przypomniałem sobie Omnium, ten wielki bazar, gdzie to wszystkiego dostać można: mebli, bielizny, sukien, jedzenia, nawet olejnych obrazów — cały zbiór rozmaitych sklepów. Myślałem, że drzwi zastanę otwarte, ale były zamknięte; odźwierny, z napisem „Omnium“ na czapce, stał przed niemi. Szczęściem, przybyli powozem jacyś kupujący i udało mi się wśliznąć za nimi. W pierwszym oddziele sprzedawano wstążki, rękawiczki i tym podobne rzeczy, w dalszym były towary koszykarskie. Nie czułem się tu bezpieczny; zbyt wielu ludzi bowiem chodziło na wszystkie strony; poszedłem na piętro, gdzie był cały oddział łóżek. Przelazłem przez nie i wyszukałem sobie legowisko na dużej kupie materaców. Oddział ten był już oświetlony i panowało w nim przyjemne ciepło. Postanowiłem zostać tam, uważając bacznie na kilku kupczyków. Gdy magazyn będzie zamknięty, myślałem, znajdę sobie coś do zjedzenia i ubranie, a potem prześpię się dobrze. W dalszym ciągu chciałem się przebrać tak, ażeby zrobić ze siebie możliwą figurę, dostać pieniędzy, wyjść potem spokojnie po otwarciu sklepu, odebrać moje notatki i książeczkę bankową, nająć gdzie mieszkanie i dopiero ułożyć plan wyzyskania wszystkich korzyści, które, jak wówczas jeszcze myślałem, dawała mi moja niewidzialność.

Czas zamknięcia sklepu prędko nadszedł. Nie minęła godzina od czasu, gdy układłem się na materacach, kiedy wzięto się do spuszczania okiennic i kupujący zwolna opuszczali magazyn, a równocześnie subjekci zaczęli, z wielkim pospiechem, składać i uprzątać porozrzucane towary. Wszystko, co tylko mogło być schowane, poszło do pak i szuflad, resztę osłonięto pokrowcami. Potem krzesła postawiono na stołach, a pomocnicy, uzbrojeni miotłami, zaczęli gruntowne zamiatanie. Może w godzinę, po zamknięciu okiennic i wyjściu publiczności, usłyszałem zgrzyt kluczy, zamykających drzwi wchodowe.

Głębokie milczenie zaległo budynek; zacząłem moje poszukiwania. Z wielkim trudem odnalazłem zapałki i świecę. Dalej musiałem zrywać pokrowce i otwierać pudełka, ażeby dojść do tego, co mi było potrzebne. Zacząłem od pudła z napisem: kalesony i kaftaniki z wełny jagnięcej. Potem szkarpetki, gruby szalik na szyję, a potem poszedłem do oddziału, gdzie była garderoba i ubrałem się w spodnie, żakiet, paletot i kapelusz z szerokiemi kresami, jeden z tych, jaki noszą duchowni. Tak ubrany, zacząłem znowu czuć się człowiekiem, a równocześnie odezwał się we mnie głód.

Na piętrze była restauracya i tam udało mi się dostać zimnego mięsa. Znalazłem jeszcze resztę kawy, którą odgrzałem, zapaliwszy gaz i pokrzepiłem się należycie. Zacząłem potem szukać kołder, natrafiłem na czekoladę i suche owoce i wino burgundzkie, którego wypiłem więcej, aniżeli należało.

Trafiłem jeszcze na oddział zabawek, gdzie maski i nosy tekturowe podały mi myśl „zrobienia“ sobie widzialnej twarzy, przy pomocy okularów, — ale w Omnium nie było oddziału optycznego. Moja twarz, to była istotnie trudność do przezwyciężenia; chciałem ją pomalować, ale obmycie w razie koniecznej jakiej ucieczki, zanadto by wiele czasu zabrało.

Nakoniec układłem się w znalezionej kupie poduszek. Ostatnie myśli moje, przed uśnięciem, były najprzyjemniejsze, jakie miałem od czasu mojej przemiany. Wyobrażałem sobie, że rano będę mógł wymknąć się w mojem ubraniu niepostrzeżony, owinąwszy twarz szalikiem, kupię sobie okulary za pieniądze, które wziąłem i dopełnię mojego przebrania. Potem zaczęły się senne marzenia, w których przeżyłem fantastycznie pomieszane dzieje ostatnich dni; byłem znów na ponurym cmentarzu i słyszałem słowa starego księdza nad otwartym grobem mojego ojca: „Ziemia do ziemi, proch do prochu...“

„I ty także!“ zawołał jakiś głos i naraz uczułem się popychany do grobu. Nadaremnie broniłem się, wzywałem na pomoc obecnych. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, ksiądz odmawiał jednostajnym głosem słowa modlitwy; — a ja zrozumiałem, że nikt mnie nie widział, ani nie słyszał. Nieubłagana jakaś siła popchnęła mnie naprzód, spadłem na trumnę, która wydała głuchy odgłos i czułem ziemię, rzucaną na mnie łopatami. Robiłem konwulsyjne usiłowania, ażeby się ratować i obudziłem się.

Blady poranek londyński już nastał i przez szpary okiennic napełniał sklep zimnem, szarem światłem. Podniosłem się, przez chwilę niemogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem, a potem usłyszałem jakieś głosy.

W części sklepu jaśniejszej, gdzie otworzono już okiennice, zobaczyłem dwóch ludzi, zbliżających się w moją stronę. Porwałem się na nogi, żeby się ukryć, ale szelest, który zrobiłem, zwrócił ich uwagę. „Co to jest?“ krzyknął jeden. „Trzymaj go!“ zawołał drugi. Skoczyłem za róg i wpadłem prosto — postać bez głowy, pamiętaj o tem, — na piętnastoletniego chłopaka. Wrzasnął, a ja go odepchnąłem, pobiegłem naprzód, znów skręciłem około rogu i miałem szczęśliwą myśl rzucenia się pod stół. W tej chwili usłyszałem tupot nóg ludzi, goniących mnie, i okrzyki: „Pilnujcie drzwi!“ — i naradzanie się, jak mnie schwycić.

Leżąc na ziemi, byłem tak wystraszony, że nie przyszło mi na myśl, rozebrać się, co byłoby mnie od razu zabezpieczyło od schwytania. Zdaje mi się, że instynktowo chciałem bądź co bądź zachować suknie na sobie. „Oto tu, tu jest!“ krzyknął ktoś z moich prześladowców.

Skoczyłem na nogi, porwałem krzesło ze stołu i rzuciłem je na głowę głupca, który krzyknął; umknąłem, wpadłem na innego, którego wywróciłem i wybiegłem na schody. Ktoś inny biegł za mną. Nad schodami była półka z temi świetnie pomalowanemi garnkami, jakże to one nazywają się?

— Majolika — poddał Kemp.

— Ta kjest, majolika. Otóż ja zatrzymałem się na końcu schodów, porwałem jeden wazon i rozbiłem go o głowę goniącego mnie. Cała półka spadła z wielkim trzaskiem, a krzyki i kroki zbliżały się ze wszystkich stron. Wpadłem do restauracyi, lampą, którą znalazłem pod ręką, ogłuszyłem kucharza, a potem skrywszy się za stół, zacząłem się rozbierać w pospiechu. Paltot, żakiet, spodnie, buty, wszystko zdejmowałem szybko, ale kaftanik wełniany przystaje do ciała, jak druga skóra. Słyszałem ludzi zbliżających się, kucharz leżał jeszcze bez przytomności, a ja, jak zając goniony, musiałem znowu uciekać.

„Tędy, tędy, policyancie!“ wołano. Wpadłem między moje materace i tu udało mi się nakoniec zrzucić kaftanik. Stanąłem bezpieczny, właśnie w chwili, gdy nadbiegnął policyant w towarzystwie trzech kupczyków. Rzucili się na kaftanik i kalesony i zaaresztowali spodnie. „Porzucił to wszystko, co pokradł“, rzekł jeden z nich, „musi tu być gdzieś w pobliżu“.

Ale oczywiście nie znaleźli mnie.

Przypatrywałem się jakiś czas ich poszukiwaniom, przeklinając w duchu konieczność pozbycia się sukni, tak mi potrzebnych. Potem wróciłem do restauracyi, napiłem się mleka, które tam znalazłem i usiadłem przy ogniu, ażeby się namyślić nad mojem położeniem.

Za chwilę dwaj zarządcy sklepowi weszli i zaczęli opowiadać o szkodach, które zrobiłem, przesadzając je niezmiernie. Zacząłem znów snuć plany. Trudność nie do przezwyciężenia, zwłaszcza po teraźniejszym alarmie, nastręczała kwestya, jakim sposobem wydobyć stąd jakąkolwiek zdobycz. Myślałem już, żeby zrobić paczkę i zaadresować ją tam, gdzie były moje książki, ale bałem się odkrycia. O jedenastej rano śnieg stajał, dzień był trochę cieplejszy, — widziałem, że Omnium było dla mnie bez nadziei i wyszedłem, zirytowany mojem niepowodzeniem i tylko z bardzo niepewnymi planami na przyszłość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FROZO.

Powieść romantyczna przez *Antoniego Hope.*

36) (Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXI.

Słowo o wielu znaczeniach.

Szła ku mnie szybko, bez wahania i spojrzawszy mi śmiało w oczy, rzekła:

— Milordzie, przychodzę z prośbą do ciebie. Znowu jestem zmuszona cię trudzić. Jutro nie wolno mi tu już dłużej pozostać, skoro moi poddani dowiedzą się, że zostali zawiedzeni w swych nadziejach. Wstydziłabym się spojrzeć im w oczy, a prócz tego nie mam odwagi zdać się na łaskę Turków, bo kto wie coby zrobili ze mną. Czy chcesz zebrać mnie z sobą do Aten lub do jakiego innego portu, skąd mogłabym dojechać do Aten? Tutaj mogę łatwo ujść straży. Nie zrobię ci kłopotu, powiedz mi tylko skąd yacht twój wyjedzie i daj mi kącik na nim. Przykro mi rzeczywiście wymagać czegoś więcej od ciebie nad to co już uczyniłeś dla mnie, ale obawiam się strasznie zostać tu sama i — ale co się stało, milordzie?

Skinąłem ręką aby przestała. Mówiła tak, jakoby zapomniała o wszystkiem co zaszło pomiędzy nami i jakoby uważała to co powiedziałem za czysty fortel z mej strony. Miałażby ona była także udawać? Krew zawrzała we mnie na tę myśl. Nie mógłem znieść tego dłużej.

— Skoro poddani pani dowiedzą się, że zostali zawiedzeni w swych nadziejach? zapytałem, powtarzając jej własne słowa. W czem zawiedzeni, w jakich nadziejach?

— Skoro dowiedzą się o fortelu jakiego użyliśmy, aby ich uspokoić.

Podszedłem bliżej ku niej i zapytałem drżącym głosem:

— Czy to było fortelem tylko, Frozo?

Pragnąłem w tej chwili, aby powtórzyła, że mnie kocha, pragnąłem wymódz od niej słowa miłości.

Ona spojrzała na mnie pytającym wzrokiem z lekkim uśmiechem na ustach.

— Czyż jesteśmy zaręczeni? rzekła ze smutną ironią.

Stałem obok niej, twarz mając blisko jej twarzy.

— Czyż to był fortel dzisiaj i tak samo w dzień św. Tryfona? zapytałem.

Ona spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem i spuściła oczy ku ziemi, nie odpowiadając na me zapytanie.

— Czyż to wszystko było jedynie fortelem, powiedz Frozo? pytałem błagalnie, naglęco, bo pragnąłem usłyszeć jej wyznanie teraz, kiedy byliśmy sami we dwoje i nikt prócz mnie nie miał być świadkiem tegoż.

Frozo uśmiechnęła się smutnie mówiąc:

— Czyż znowu mam ci to powtórzyć, milordzie? Wszakże dwa razy już zostałam zawstydzona.

— Powtórz mi to po raz trzeci jeszcze poszepnąłem, poczem zauważyłem, że oczy jej rojaśniły się, troska uleciała z jej czoła, a uradowany tem rzekłem:

— Powtórz po sto, po tysiąc razy jeszcze.

— Ależ milordzie! zawołała cofając się i znowu smutek rozlał się na jej twarzy, gdy spoglądała na mnie w niemem milczeniu.

— Ależ milordzie! poszepnęła i uciekając się do swej próby, dodała: Wszakżeż nie zostawisz mnie tu samej, zawieziesz mnie gdzie w bezpieczne miejsce, bo strasznie boję się tych ludzi, jakkolwiek Pasza nie żyje.

Nic nie odpowiedziałem na to, bo nie byłem w stanie myśleć o niczem. Patrzałem tylko wciąż w jej oczy.

— Masz najcudniejsze oczy na świecie, Frozo, rzekłem z drżeniem w głosie.

— Milordzie! poszepnęła Frozo zmięszana.

— Tak, najpiękniejsze oczy na świecie, rzekłem i błagam cię powtórz wyznanie.

Rozmawiając zbliżaliśmy się do dworu, który zarysował się wśród ciemności nocy. Lecz przecudne oczy Frozo błyszczały jak brylanty, ręce zarzuciła mi na szyję i wyszeptała szybko i z uczuciem:

— A więc powtórzę jeszcze raz, to co już mówiłam poprzednio, że kocham cię — kocham nad życie — więcej niźli powiedzieć mogę!

Słowa jej znalazły echo w mem sercu, przycisnąłem ją do piersi wbrew całemu światu, bo on nie istniał dla mnie w tej chwili. Gdyby wówczas był mi kto powiedział, że kochałem przedtem, byłbym go wyśmiał i nazwał szalonym. Ale wtem Frozo znowu się cofnęła, jakoby przypominając sobie coś o czem zapomniała.

— Lecz milordzie....!

Wiedziałem co chciała powiedzieć i milczałem. Przyszłość nasza zależała od jednego słowa z ust moich.

— Lecz owa piękna pani czeka na ciebie milordzie! W głosie jej brzmiała nuta niepokoju, a zanim zdążyłem dać jej na to odpowiedź, Frozo zbliżyła się, położyła mi rękę na ramię i mówiła szybko i serdecznie: Rozumiem cię milordzie i jestem ci wdzięczna. Dzięki niechaj będą Bogu, że mi powiedziałeś, że mnie kochasz, bo chociaż nieszczęśliwa, dumna będę z twej miłości i w czasie długich, bezsennych nocy, myśleć będę o mej drogiej wyspie i o tobie jakkolwiek i wyspa i ty, daleko będziecie odemnie.

Tu pochyliła głowę i ucałowała mą rękę.

Wyrwałem szybko mą rękę z jej dłoni, poskoczyłem i znowu porwałem ją w me objęcia i całowałem jej usta, bo postanowienie moje było niezłomne. Nie byłem w stanie jej opuścić. Nie mówiłem ani słowa jednakże, i ona nie rozumiała mnie. Sądziła, że żegnałem się z nią, bo łzy spływały jej po licu, jak gdyby czuła, że coś odrywa ją odemnie. Lecz teraz otworzyłem usta, aby powiedzieć jej to co miałem w sercu, i co przykuwało jej życie do mojego.

Wtem ktoś zawołał na mnie po imieniu. Był to Denis. Frozo wysunęła się z mych objęć i odeszła na stronę.

— Wkrótce powrócę, poszepnąłem i ścisnąwszy jej rękę szedłem prosto przededwór.

Denis stał na schodach, drzwi frontowe były otwarte. Światło lampy z sali padło na mą twarz, a gdy weszliśmy obadwaj, Denis schwycił mnie za ramię i zawołał z przestrachem:

— Na Boga, co tobie się stało, Charley? Wyglądasz blady jak chusta. Czy widziałeś ducha Konstantego, lub Murakiego?

— Widzenie ducha niczem jest w porównaniu do tego co przeszedłem przed chwilą. Nigdy w życiu nie byłem tak silnie wstrząśnięty. Co chcesz odemnie, po co mnie wołałeś? Nie mam czasu, ona czeka za mną.

Nie chodziło mi już teraz, ażeby robić z tego tajemnicę, więc mówiłem szczerze i otwarcie.

— Niechajże ona poczeka trochę, odparł. Musisz pójść ze mną na górę.

— Ależ mówię ci, że nie mogę, nie mam czasu, obstawałem uporczywie przy swojem.

— Nie bądź dziwnym, Charley i chodź ze mną, bo to jest ważne i kapitan chce cię widzieć.

Twarz jego mówiła wiele. Nie mógłem zgadnąć o co chodzi, więc zdjęty ciekawością, odezwałem się: „A zatem chodźmy“.

— To dobrze, chodź ze mną. Weszliśmy na schody, w głowie czułem zamęt.

Skromny, urzędowy wygląd pokoju, do którego wprowadził mnie Denis, otrzeźwił mnie. Zapanowałem nad wzruszeniem i przybrałem maskę obojętności. Kapitan siedział przy stole nad stosem listów i papierów. Zdawał się odczytywać je z zajęciem, a na ustach jego błądził wyraz zdziwienia i pogardy.

— Zręczny to był intrygant, ów Muraki, rzekł kapitan, jednakże, gdyby kto był mógł przeczytać jego podręcznik za jego życia jeszcze, nie byłby mógł cieszyć się nawet tak podrzędnem stanowiskiem za jakie uważał swój urząd gubernatora. Wierzaj mi, lordzie Wheatley, że gdybyś nawet był miał udział w jego śmierci, nie potrzebowałbyś się obawiać niczego, w razie jeżeliby te papiery dostały się w ręce rządu. Dobrze zaiste, żeśmy go się pozbyli. Prawdziwie, jest to tak, jak zawsze utrzymywałem, że ci Armeńczycy, jakkolwiek to psy mądre i przebiegłe.....

— Nie przyszedłem po to aby słuchać sądu Turka o Armeńczykach, więc przerwałem mu z pewną niecierpliwością, której nie zdołałem ukryć.

— Przepraszam cię kapitanie, lecz czy to jest wszystko co miałeś mi do powiedzenia? zapytałem.

— Zdawało mi się, że to nie będzie bez pewnej dla ciebie wagi, milordzie.

— Bezwątpienia, odparłem, starając się zapanować nad sobą, lecz kiedy teraz uspokoiłeś mnie pod tym względem, jestem ci winien podziękowanie za twoją uprzejmość.

— Kapitan skłonił się na znak uznania i mówił dalej powoli sortując i układając dokumenty.

— Ponieważ ze śmiercią Paszy, rządy nad wyspą spadły na mnie chwilowo, przeto czułem się w obowiązku przejrzeć korespondencyą Jego Ekscelencyi i dowiedziałem się z niej, że knuł on nader śmiałe plany. No, ale tem nie potrzebuję trudzić cię, milordzie!

— Nie chciałbym być wmięszany w nie za nic w świecie, rzekłem.

— Znalazłem także pomiędzy papierami list adresowany do...., ciągnął kapitan z całym spokojem.

— Do mnie? poskoczyłem zaciekawiony.

— Nie, do pańskiego kuzyna, ot tego tu dżentelmana. Stósownie do tego co uważałem za mój obowiązek — za co zmuszony jestem przeprosić pana Swinton. — Tu ów do rozpaczy doprowadzający mnie człowiek zamilkł, spojrzał na Denisa, czekając za jego ukłonem, który też otrzymał i który zwrócił z całą ceremonią, odetchnął swobodniej i wreszcie — ach, wreszcie! — rzekł:

— List ów jak już mówiłem, czułem się zobowiązanym do przeczytania......

— Bezwątpienia.

— Lecz nie zawierał on nic ważnego.

— Więc cóż u djabła — proszę, wybacz kapitanie.

— Był to list prywatnej treści. Ale nie wolno mi go wydać z rąk. Należy on do pozostałych papierów Paszy, które muszą być przesłane rządowi. Jednakże dałem go do przeczytania panu Swinton, który mi mówił, że on dotyczy więcej Ciebie lordzie Wheatley, niżeli jego samego. A zatem postanowiłem prosić go, aby ci ów list przeczytał w mej obecności, bo ja płynnie po angielsku czytać nie umiem. Mówiąc to, podał list Denisowi i nakoniec mieliśmy go w ręku.

— Na Boga, czytaj szybko Denisie! rzekłem, siadając na stole i niecierpliwie przerzucając jednę nogę na drugą. Kapitan spoglądał na mnie niekontent z mego dziwnego zachowania się.

Denis wyjął list z koperty i czytał:

Londyn, 31-go maja; poczem stanął i zauważył: „Przyjechaliśmy tu siódmego maja, jak wiesz. Skinąłem głową szybko a Denis czytał dalej:

Mój drogi Denisie!

Co to za okropność! Zaledwo mogę pomyśleć o tem. Jakżeż mi go żal serdecznie. Mama bardzo zmartwiona, a ja tem więcej, jak możesz sobie wyobrazić. Biedny, biedny Charley. Właśnie usłyszałyśmy tę smutną wiadomość, kiedy trzy dni temu musiał odebrać nasz list. Mama utrzymuje, że to nie robi różnicy i jeżeli list jej był rozsądnie napisany nie wpływa to bynajmniej na to co zaszło. Ale mnie się zdaje, że musiał na nim zrobić wrażenie. Proszę, donieś mi, czy on nie czuł tego zanadto boleśnie w czasie swej choroby. Tu w tem miejscu jest wielka plama — bo łzy płynęły mi z oczu na papier. Wiem, że myślałeś, że go nie kochałam, ale mylisz się, kochałam go, chociaż nie w ten sposób jak mama utrzymuje. Czy myślisz, że mi przebaczył? Myśl ta dręczy mnie ogromnie. Odpisz szybko. Myślę, że przywieziesz biednego drogiego Charley do Anglii. Proszę, donieś mi czy nie myślał zanadto źle o mnie. Obiedwie z mamą załączamy wyrazy serdecznego współczucia.

Szczerze życzliwa Ci

Beatryca Kennet Hipgrave.

P. S. Pan Bennett Hamly, który właśnie nadszedł także bardzo jest zmartwiony biednym drogim Charley. Ja zawsze myślę o nim jako o dawnym Charley. Pisz, proszę.

Nastąpiło dłuższe milczenie, które przerwał Denis satyryczną uwagą:

— Zawsze myśli o Tobie jako o dawnym Charley, to także coś jest warte.

— Ale cóżto u djabła znaczy? zawołałem, zeskazując ze stołu.

— Myślę, że przywieziesz biednego drogiego Charley'a do Anglii, powtórzył Denis w zamyśleniu. Jest to prawdopodobniej teraz, aniżeli było kilka dni temu — przyznaję.

— Powiedz mi Denisie, na Boga, co to znaczy? Nie miałem żadnego listu od......

— Od mej matki? Nie, to prawda. Lecz wszakżeż nie mieliśmy listu od nikogo.

— Niech mnie powieszą, jeżeli cokolwiek..., zacząłem rozpaczliwie.

— Ależ posłuchaj Charley, przerwał Denis. Może moja matka wysłała list do — Murakiego Paszy.

— Do Murakiego?

List do mnie pisany znalazł się w jego korespondencyi.

— Wszystkie listy przechodziły przez jego ręce, jeżeli chciał je czytać, zauważył kapitan, który siedział osunięty w głębi krzesła i patrzał w sufit.

— O Nieba! zawołałem, zrywając się na nogi. Słowa kapitana dały mi wiele do myślenia. W jednej chwili byłem u stołu i drżącą nerwowo ręką przerzucałem plikę papierów, ułożoną przez kapitana tak starannie. Przeglądałem każdy świstek od góry do dołu, a kapitan nie śmiał mi przeszkadzać, tylko bolał w milczeniu spoglądając na zniszczoną swą pracę całego wieczoru. Denis patrzał na to spokojnie przez pewien czas, poczem nagle wybuchnął głośnym śmiechem. Zagniewanym wzrokiem skarciłem jego niestósowną wesołość i znowu szperałem dalej w papierach.

Ale wszystko to było napróżno. Albo Muraki nie odebrał żadnego listu od pani Bennett Hipgrave, albo zrobił tak, jak ja zwykle robiłem z listami tej szanownej damy — to jest podarł go i rzucił na ziemię po przeczytaniu.

Przejrzałem każdy skrawek papieru, urzędowe dokumenta, prywatne listy (na co kapitan patrzał bardzo niechętnem okiem) jednem słowem całą korespondencyę Murakiego i nigdzie nie znalazłem listu od pani Hipgrave.

— Nie, nie ma go nigdzie! zawołałem zrozpaczony.

— Tak, ale, że Muraki go odebrał, możesz być pewnym tego, rzekł Denis.

Wtem przypomniałem sobie, jak niegdyś Muraki mówił mi z uśmiechem o pięknej pani, która na mnie czeka w Anglii. Może mówił to właśnie po przeczytaniu listu pani Hipgrave. Skręcił list, ażebym nie dowiedział się co on zawierał, aby tym sposobem przeszkodzić do szczęścia mnie i Frozo. Gdy pomyślę o tem ile tem narobił mi niepokoju i boleści, to jestem gotów ukoronować Dymitra za jego czyn śmiały i odważny.

— I cóż mogło być w owym liście? zapytałem Denisa.

— Przeczytaj pisze raz, rzekł, podając mi pismo Beatrycy.

Byłem teraz spokojniej uspobobiony i przeczytawszy podany mi papier z całą uwagą, domyśliłem się wszystkiego. Ów rozsądnie napisany list pani Hipgrave oznajmiał mi zerwanie z jej córką. To było mi jasnem.

Spojrzałem znowu na Denisa.

— Pozwól, że ci powinszuję, rzekł on ironicznie.

Mężczyzna dziwnem jest stworzeniem. Nietylko ja, ale wielu innych musiało już zrobić tę uwagę. Nie tłomaczę się nawet z tego, bo im więcej patrzę na siebie i moich znajomych, tem więcej jestem o tem przekonany. Otóż otrzymałem to, czego pragnąłem całem sercem — zostałem zwolniony z słowa, posiadłem znowu złotą wolność, do której wzdychałem! Mimo to na powinszowanie Denisa nie znalazłem żadnej innej odpowiedzi prócz tej:

— Niech ją czort porwie, kiedy mnie porzuciła! A powiedziałem to mocno zgryziony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



JANUARY SUCHODOLSKI.

ŚMIERĆ WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA W BITWIE POD WARNĄ 10 LISTOPADA 1444 R.

Album „Pracy".

Drukiem „Pracy".

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Malował Jan Matejko.

WŁADYSŁAW WARNEŃCZYK.

(1434 — 1444).

Władysław Warneńczyk.

(Wspomnienie historyczne.)

Był to dzień wielki, w całej Polsce głośny.
Gdy się Jagielle syn pierwotny rodził,
Gdy przyjście jego przez okrzyk radosny
Naród obchodził.

Na ten czas Witołd, dzielnem swem ramieniem
Zbiwszy za Wołgą hordy Tamerlana,
Przybył i witał tkliwem uściśnieniem
Młodego pana.

Podniósłszy w górę królewską dziecinę,
Rzekł: „Ziemi, nieba wiekuisty Panie!
Niechaj ten książę po wszelką krainę
Sławnym się stanie!“

Tu upominki przez stryjów oddano,
Te Witołd swymi pomnożył:
W kolebkę, z srebra czystego ulaną,
Dziecinę złożył.

Sam go sposobił ku kraju obronie;
Lecz książę ledwie rok dwunasty liczył,
Stracił Witołda i po ojca zgonie
Tron odziedziczył.

Skoro się ujrzał na Chrobrego drodze,
Nie dał się zdrożnym chuciom powodować;
Lecz wziąwszy silną dłonią rządu wodze,
Umiał panować.

Jemu to, w jego wspaniałej stolicy,
Jako przed swoim i królem i panem,
Pomorzan, Wołoch i Multan lennicy
Bili kolanem.

Znając, jak król ten był możnym i śmiałym,
Troskliwy o swą całość i obronę,
Naród węgierski w poselstwie wspaniałem
Niósł mu koronę.

Bitnymi ludy, gdy już dzielnie włada,
Gdy tron Cezarów w Bizancyum się chwieje,
Rzym i świat cały w nim jednym pokłada,
Wszystkie nadzieje.

Już świat zadziwia walecznymi czyny,
Już gromi Turków przez okropne klęski,
Z nim orzeł biały niósł w obce krainy
Polot zwycięzki.

A gdy pociągnął pomiędzy Słowaki,
Co obce jarzmo niecierpliwie znoszą,
Ci, widząc wspólną mowę, ród jednaki,
Królem go głoszą.

Szczęśliwy, gdyby słowiańskie narody
Spoiwszy, u nich chciał tylko panować,
A żądze sławy i podbić zawody
Umiał hamować.

Nieraz mu rada wierna przekładała:
„Królu, dość w chlubnym okazałeś boju,
„Pięknie zwyciężać, ale większa chwała,
Słynąć w pokoju.“

Przemógł Rzym i głos chrześciańskich panów,
Przemogła sława! Na wszystko niepomny,
Wszczyna pod Warną z tłumem muzułmanów
Bój wiarołomny.

Gdzie mieczem błysnął, tam przed nim leciały
Postrach, okropne rany i śmierć blada,
A każdy, co nań targnie się zuchwały,
Zwyciężon pada.

Nakoniec, tylu straty rozjątrzone,
Lecą nań spahy z okropnymi głosy
I topią w czoło, z hełmu obnażone,
Śmiertelne ciosy.

Pada Władysław... pod ciężkiem żelazem,
Pod zbroją ziemia jęk smutny wydaje;
Lecz i po zgonie twarz srogim wyrazem
Grozić się zdaje.

Jak ów Marceli na Augusta dworze,
Co był zrodzony, by na świecie słynął,
Tak nasz Warneńczyk w pierwszej życia porze
Błysnął i zginął.

J. U. Niemcewicz.



Pio Joris. **Papież Eugeniusz IV w drodze do Bolonii.**

Świetnym był wiek XV-ty dla Rzymu, w tym czasie bowiem doszedł tam do szczytu rozwój sztuk pięknych; niemniej jednak był to wiek rozterek i walk stronniczych. Wśród walk tych wybitną postacią był papież Eugeniusz IV (Konstanty Gabryel Condolmero), Wenecyanin rodem, jeden z najenergiczniejszych kierowników nawy Piotrowej. Obrany papieżem w r. 1431-ym, po śmierci Marcina V-go, wstąpił na tron papieski w chwili właśnie, gdy sobór Bazylejski miał rozpocząć swe czynności. Po swym poprzedniku, Marcinie V-ym, Eugeniusz IV objął dwie poważne dla Kościoła sprawy: ostateczne zniesienie nauki husyckiej i wzmocnienie władzy świeckiej w Rzymie. Pierwszą z tych spraw załatwiły sobory w Bazylei i Ferrarze; drugą przeprowadził zwycięsko dzięki swej stałości i niezłomności. Walka była bardzo trudną: Collonnowie podburzyli lud rzymski przeciw papieżowi; Eugeniusz IV, chcąc ratować życie i powagę Kościoła, opuścił Rzym i udał się najpierw do Bolonii, później do Ferrary. Upokorzeni energią papieża Rzymianie już kilka miesięcy wzywali go do powrotu, lecz Eugeniusz IV zgodził się na to dopiero w r. 1443-cim. — Podobizna powyższego obrazu przedstawia chwilę, gdy Eugeniusz IV opuszcza Rzym, ścigany przez zaciekłych najmitów Collonny. Autor tego obrazu, Pio Joris, malarz współczesny włoski (ur. w r. 1843-cim) należy do znakomitych mistrzów pędzla.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny)

Napisał Karol C eszewski.

IX.

Podejrzenia.

Pomimo zwycięzkiego odwrotu naszych, nie obeszło się bez ofiar. Franciszek opuszczając Żwaniec, wydając rozkazy, odjechał na chwilę kilkunastoletniego swego brata Antoniego, który mu zwykle towarzyszył; a gdy wrócił, już go nie zastał.

Dziwnym trafem wpadł on w ręce Moskalów, i dopiero w wiele lat później, w roli brzydkiej wystąpił znowu w kraju. *)

Stanąwszy pod murami Chocimia, nie otrzymał przyrzeczonych od Turków posiłków, poczem w towarzystwie czterdziestu janczarów, którzy się z nim dobrowolnie połączyli, przebył na nowo rzekę, aby się udać do Żwańca. Lecz gdy zastał tu stosy jedynie popiołów, postanowił usadowić się we wsi naprzeciw Chocimia i oczekiwać tu wieści od Kazimierza.

Zbliżała się jednak świeża 24.000 tysiączna armia moskiewska pod dowództwem księcia Galiczyna, zagrażając równocześnie granicom Polski i Turcyi.

Trwożące te wieści nie przeraziły nikogo, bo tak pojedyńczy ludzie jak i narody, nabierają w nieszczęściu tem większego hartu.

Okoliczna szlachta miasto stracić odwagę, tem goręcej zabrała się do skutecznego odporu. Z zapałem zbierano wszędzie ludzi, zakładano magazyny, zwożono na umówione miejsca wszelką broń i zasoby wojenne, jakie można było zgromadzić; słowem czyniono wszelkie przygotowania z taką gorliwością, że jak najświetniejsze powodzenie można było rokować przyszłym działaniom wojennym. Prócz tego wystąpili wszyscy ci z pomiędzy konfederatów, którzy uszli śmierci, gromadnie z swych kryjówek po lasach i śpieszyli manowcami na miejsca, gdzie się wojsko na nowo zbierać miało.

Wszystkie te jednak przygotowania zmarniały bezowocnie, bo znowu — jak zwykle — nie nieprzyjaciel, ale wróg domowy, zadał sprawie cios śmiertelny.

Wrogiem zaś tym, w własnem wylęgłym łonie, było nieoparte na niczem podejrzywanie.

Chwalebne jest podejrzywanie, póki nie przekracza granic sumiennej ostrożności i opiera się na słusznych powodach — ale zbrodnią, ciężką zbrodnią jest niesumienne i lekkomyślne, częstokroć z bardzo mętnego źródła pochodzące i na niczem nieoparte podejrzywanie, do którego tak bardzo pochopni jesteśmy. Jakże często trafiało ono ludzi zasłużonych i czystych, a krwawiąc im serca łamało siły, demoralizowało szeregi bratnie i narażało sprawę na szwank, a często i na zgubę.

Przejdźmy historyę — ciągle się to powtarza; i ciężka ogarnia boleść widząc, że strumieniami krwi opłacamy każde doświadczenie, a jednak nieustannie w te same znowu wpadamy błędy.

Przyczyną tego jest brak znajomości dziejów ojczystych i zastanawiania się nad niemi krytycznie....

To samo działo się i teraz, gdyż nieufność i zazdrość, podsycane starannie

---

*) Chojecki w piśmie swojem: Pamięć dzieł polskich itd. opowiada, że go zaprowadzono do Kazania. W Kazanie dano mu na mieszkanie pałac i obchodzono się z nim dobrze, nazywając starostą czereszyńskim. (P. a.)

przez Moskalów, którzy w niezgodzie przeciwników upatrywali dla siebie pewność zwycięstwa, udaremniały wszystkie te przygotowywania i poświęcenia.

Prześladowano krzywdzącem a niezasłużonem podejrzeniem sędziwego Pułaskiego — ten sam los spotkał teraz i synów jego, których równie zaciętemi ścigano oszczerstwami.

„Nikt wprawdzie nie śmiał wypowiedzieć tego głośno — pisze pamiętnik spółczesny — lecz wszyscy postępowali w taki zupełnie sposób, jakby przeświadczeni byli o niewątpliwości tych podejrzeń. Skutkiem tego ducha niechęci objęli najznakomitsi z szlachty podolskiej dowództwo nad oddziałami nowemi, które się wkrótce potworzyły. Inni idąc nawet dalej, używali najnędzniejszych podstępów, aby przeciągnąć na swą stronę owe resztki wojska, które przy obu były jeszcze Puławskich.

Chytre te jednak zabiegi były bezowocne i tylko ich okryły hańbą. Żołnierze bowiem Franciszka i Kazimierza widzieli nadto dowodów dzielności swych wodzów, stałości ich ducha i patryotycznej gorliwości o sprawę publiczną, by wątpić o ich chęciach dobrych lub pomyśleć nawet o opuszczeniu ich strony.

Następstwa atoli tych zabiegów były zawsze szkodliwe sprawie powszechnej, bo większa część nowo potworzonych hufców, które źle były zorganizowane a jeszcze gorzej prowadzone, rozpierzchła się za zbliżeniem Moskali. Niektóre jednak partye konfederatów, co nie podzielając krzywdzącego o Puławskich przekonania, podstępnych nie słuchały namów, połączyły się z oddziałem tego z braci, który był bliższym i te właśnie pozostały pod bronią....

Podczas gdy się to działo w łonie hufców konfederackich, wkroczyła armia Galiczyna na Podole, napełniając wszystko strachem i obawą.

Nie chcąc zatem narażać Podola na dalsze klęski i zniszczenie, postanowił Kazimierz udać się w inną stronę kraju, aby tam tak chwalebnie przez ojca rozpoczęte dzieło dokonywać; i puściwszy umyślnie w obieg pogłoskę, że ma pod swemi rozkazami znaczne wojsko, rzucił się pod przybranem nazwiskiem w kierunku zupełnie przeciwnym temu, jakiego się dotąd trzymał.

X.

Niespodzianka.

Po kilkudniowym mozolnym pochodzie, odbytym z ostrożnością, jaka towarzyszyć musi poruszeniom partyzantów, zbliżał się Kazimierz do Sambora, miasta niedaleko Dniestru, w którego pobliżu dość warowny stał zamek. Tem śmielej zaś postępywał naprzód, gdy się dowiedział, że miasto jest już w ręku oddziału konfederatów, który jakkolwiek małoliczny, przed kilku dniami zaszczytnie potykał się z Moskalami.

Gdy jednak zbliżał się do miasta i spostrzegł jego szczyty, widzi na wieżach powiewającą czarną chorągiew, co go w niemałe wprawiło zdumienie. Tego bowiem koloru chorągwie wywieszali zwykle Turcy, w miejscach, które zajmowali.

Niepewny posuwa się naprzód, nie pojmując, jakim cudem ci sami Turcy, którzy tylekrotnie obiecywanych odmawiali posiłków, mogli być teraz nagle panami twierdzy w samym środku kraju polskiego.

Pomimo tego jednak wchodzi do miasta i pyta o naczelnika załogi.

Ale któż opisze radość jego i zdziwienie! W naczelniku załogi poznaje starszego brata swego Franciszka, o którym mu doniesiono, że wpadł w Żwańcu w ręce Moskali; mniemana zaś załoga turecka ograniczała się na kilkuset jańczarach, którzy połączywszy się z owymi 40, co wyszli z Chocimia, odtąd już nie opuszczali Polaków. — Niemniej zdumiony i uradowany był i Franciszek widokiem brata, bo sądził, że zginął na owej skale, gdzie garstkę walecznych moskiewska oblegała armia.

Rzucili się sobie w objęcia i w serdecznem uściśnieniu braterskiem zapomnieli na chwilę o przebytych niebezpieczeństwach i trudach; a bolejąc wspólnie nad stratą ojca, o której Kazimierz teraz dopiero od brata się dowiedział — uroczystą ponowili przysięgę, pomścić na okrutnych wrogach śmierć jego niewinną i do ostatniej krwi kropli walczyć o wolność ojczyzny.

Bolesna dolegliwość i krzywda — powiada Lelewel — mocniej zacne rozpala serca: i bracia ogniem prawych synów ogrzani, nie inną postanowili krzywd swoich zemstę, tylko udowodnieniem niewinności imienia swego, przez czyny waleczne i poświęcenie się ojczyźnie.

Postanowili tedy połączyć wszystkie siły i uderzyć wspólnie na nieprzyjaciela.

Lecz znowu stanął na przeszkodzie straszny wróg nasz domowy: niezgoda i nieufność. Pomimo więc najgorliwszych usiłowań nie mogli zebrać pod swe rozkazy znaczniejsze siły; a nie widząc bezpieczeństwa dla siebie w stronach zewsząd odsłonionych, gdzie ich otaczali wrogowie obcy i domowi, postanowili puścić się wzdłuż granicy węgierskiej, aby się zbliżyć do miejsc, w których nowe pozawiązywano konfederacye.

„Zwoławszy starszyznę i wyższych oficerów — pisze współczesny pamiętnik — każe im gotować się do pochodu, a wszelkie bagaże zostawić w mieście pod strażą mieszkańców i załogi zamkowej, biorąc tylko z sobą, co w służbie niezbędnem będzie. Wręczył oraz każdemu rozkaz opieczętowany, który w pewnej dopiero miał odczytać odległości i stosownie postąpić.

Skoro potrzebne załatwiono przygotowania, wyruszyło wśród nocy bez najmniejszej wrzawy 800 ludzi z miasta, rozdzieliwszy się na partye od 50 do 60 najwięcej, przeżyli wszyscy w różnych punktach rzekę. Poczem idąc manowcami jak im przepisano, znieśli po drodze wałęsające się drobne oddziały moskiewskie i stanęli szczęśliwie i razem niemal na przeznaczonem miejscu. Nie znajdując tu jednakże ani tyle wojska i zasobów wojennych, ani takich środków obrony jak się spodziewali, opuszczają prawie natychmiast tę okolicę lecz uprowadzają z sobą kilkuset konfederatów, którzy tu się cofnęli, aby uniknąć spotkania z Moskalami.

Ruszono więc na Litwę, a pochód odbywał się więcej nocą niż dniem, i to samemi prawie lasami.

Po drodze rozbito kilka oddziałów nieprzyjacielskich i zabrano tu i owdzie kasy i składy broni w małych miasteczkach, pod strażą nielicznego wojska zostające.

Zamiarem było Puławskich zawiązać na Litwie konfederacyą podobną barskiej i krakowskiej, która dla braku pomocy coraz bardziej upadała i nadać jej nawet więcej rozgłosu i godności.

Powiodło się im to w części tylko, ponieważ te same narowy, to jest brak porządku, karności i zgody, które były główną przyczyną, że pierwsze ich usiłowania i przedsięwzięcia zamierzonego nie osięgły celu, zwichnęły i tutaj rzecz całą mimo dość świetnego w początkach powodzenia...

Zdania i myśli.

Poeci po ślubie stają się filozofami, a filozofowie, po swojem ożenieniu się, puszczają się na poezyę, satyryczną. Damom pozostaje rzecz do rozstrzygnięcia, który z tych dwóch systematów bardziej się im podoba.

Adam Mickiewicz.

Antoni Morawski,

rzeźnik, konfederat.

(Wspomnienie historyczne.)

Napisał *Jan Kanty Turski.*

IV.

Tak więc wreszcie z bożej łaski,
Był rotmistrzem pan Morawski.
Pan Zaremba sobie chwali
Tak dzielnego w boju ducha,
Który we śnie nawet słucha,
Czy tam nie ma gdzie Moskali.
Bitny, czujny, rezolutny,
A na wroga przeokrutny.
Toć go lubią bracia szczerze,
I o przyjaźń z serca proszą,
A Morawski ich z rozkoszą
Do swojego serca bierze.
Pan Ulejski, człek wojskowy
Dzielnej dłoni, tęgiej głowy,
Tak do niego przyrósł duszą,
Że jak bracia, jak rodzeni,
Wszędy z sobą jeździć muszą:
Sercem ściśle połączeni.
Więc też nawet za rozkazem,
Wszędy z sobą byli razem.
Czy patrolem, czy na zwiady,
Czy do dworu za podatkiem —
Muszą obaj, nie ma rady,
Gdy nie z wiedzą, to ukradkiem.
I nie dziwy: dzielna dusza,
Do miłości serce zmusza.
Bo i szczera i otwarta,
I uczciwa i serdeczna —
Więc i w smutku użyteczna,
I w radości wiele warta.
A tam jakoś mniej wesela
Niźli smutku przy nich było:
Więc przy sercu przyjaciela,
I boleści się ulżyło.
Służba różnie się tam wiodła,
Było często dość kłopotu:
Dwa dni nieraz nie schodź z siodła,
I nie otrzyj z czoła potu.
I pędź tylko bez wytchnienia,
Po miasteczkach za podatkiem,
A i nieraz, jak Bóg świadkiem,
Zsychał człowiek od pragnienia.
Bo trza wiedzieć o tem panie,
Że choć było już powstanie,
I naród się wszędy zbierał....
Przecież było trudu dosyć;
I nie jedno przyszło znosić,
Bo już wtedy Lachy braty,
Już Prusakom sprzedawali
Swe najdroższe ojców chaty....
Aby się w nich rozpierali.
Oj! niebaczni — oni o tem
Zapomnieli, że z tej ziemi,
Krwawym ojców zmytej potem,
I skropionej łzy krwawemi,
Nie godziło się uciekać,
I na pastwę stawiać sioła;
Jeno z wiarą dotąd czekać,
Bowiem wiara wiele zdoła.
Oj, pokpili tęgo sprawę,
I splamili ojców sławę.

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Więc też przez nich wielka bieda,
Bo zkąd zebrać tyle składki
Na wojenne, na podatki,
Ile naród na kraj wkłada?
Ten się wzbrania, ten wymawia,
Ten rodowód swój przedstawia,
Że jest Prusak — baron z dziada,
Lub też grafa ma koronę....
No i znajdzie tu obronę!?
Oj! — z tą bracią straszna biada.



R. Kochanowski. **Studyum.**

Złote listki.

Jest niesłychaną dumą i największym despotyzmem chcieć, dla uleczenia z przesądów powszechnych, właśne przesądy gwałtem wszystkim narzucać.

Adam Mickiewicz.

* * *

Wiem z siebie, że kto w górze pragnie
stanąć czysto,
Musi długo wędrować drogą płomienistą.

M. Romanowski.

Aër.

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego.

13) (Ciąg dalszy.)

VIII.

Przyjście Francuzów do Warszawy, które w pierwszej chwili tak uradowało mieszkańców, w następstwie okazało także swoje bardzo złe i przykre strony. Kiedy już korpus marszałka Davousta począł wkraczać, Warszawianie nie mogli się nadziwić, jak ci ludzie drobni, mali, mizerni i skuleni mogli zwalczyć pokaźnego żołnierza pruskiego. Nadto, lubo popielate, a niezbyt mile w oczy wpadające płaszcze piechoty francuskiej były przepisanym dla armii uniformem, ze względu jednak na pospiech, z jakim Napoleon przerzucał swe armie i z przyczyny zimna, dla zabezpieczenia wojaków, porobiono im ubrania z zapasów, jakie się znalazły w fabrykach sukiennych, nie zważając wcale na barwę.

Owa więc piechota francuska, która świat zdobywała, po ulicach Warszawy paradowała w ubraniach pon-

sowych, zielonych lub kanarkowych, wyglądając, jak arlekiny lub jarmarczni skoczkowie.

Jeżeli zaś zewnętrzne wrażenie na widok ich nie było bardzo korzystne, stokroć większego rozczarowania nabierało się pod względem towarzyskim i socyalnym w razie bliższego z nimi zetknięcia. Owi zwycięzcy nie byli to wcale Francuzi pełni elegancyi i galanteryi, jak o tem sobie wyrobiły pojęcie masy naszego ludu, owszem, przedstawili się, jako nieokrzesane gbury, którzy mając mózgownicę zawróconą powodzeniami, wszelkie inne narodowości traktowali z góry, nadawali im miano barbarzyńców i w wymaganiach swych byli nienasyceni. Jeśli zaś do tego doda się wygłodzenie ich i pragnienie wygód, na których im tak długo zbywało, zrozumiemy łatwo, że dla mieszkańców spokojnego dotąd miasta, mogli się oni stać prawdziwą plagą.

Warszawa nie posiadała zbyt wielkiej liczby koszar, a ponieważ napływ wojska francuskiego był ogromny, trzeba więc je było lokować po prywatnych mieszkaniach na kwatery, a tu najcierpliwszym i największym wielbicielom Francuzów i Napoleona dawali się oni srodze we znaki.

Szpitale współcześnie przepełniały się chorymi i rannymi, do rozlicznych obozów w granicach polskich potworzonych, trzeba było w ogromnych ilościach dowozić produkta żywnościowe, tak, że musiano odrywać sprzężaj od prac rolnych, aby wydołać tym licznym dostawcom.

Pod względem towarzyskim Warszawa także dużo straciła ze swojej elegancyi i blasku, a publiczne zebrania stały się prawie dla wyższych warstw niepodobne i nieprzystępne.

Kiedy bowiem na bale i zabawy prywatne wdzierali się często nieproszeni i niepowołani pijani porucznicy i podoficerowie francuscy, salę teatralną zasiadali prości żołdacy, śpiewali tu piosnki nieprzyzwoite, rzucali na siebie orzechami i kasztanami, wymyślali dowcipy więcej niż podejrzane i każdą piękność poddawali głośnym, a nie zawsze pochlebnym sądom.

Pomimo tych licznych nieprzyjemności nie ustawał zapał dla wybawicieli, i pomimo, że tacy naprzykład marszałkowie, jak Launes bardzo niekorzystnie o Polakach się wyrażali, naród nasz okazał gotowość do takich wysiłków, o jakich najśmielsi nawet marzyć nie mogli.

Na potrzeby wojsk francuskich sypały się zewsząd niezliczone sumy, produkta rolne oddawano im z niesłychaną ofiarnością, a kiedy przyszło wezwanie do formowania wojsk polskich, młodzież do służby gotowa wyrastała prawie z ziemi, jak grzyby po ciepłym deszczu jesiennym.

W Warszawie do werbunku użyto kapeli i napitku, a dzięki nie temu sztucznemu środkowi, ale zapałowi narodowemu pierwszego dnia zaraz, kiedy wezwanie ogłoszono, znalazło się sześćset ochotników. Wiejskim mieszkańcom nakazano, ażeby z każdych dziesięciu dymów stawili jednego żołnierza, a ci stawili się konno i zbrojno, albo dawali za siebie zastępcę. Tymczasem chętnych do wojaczki znalazło się więcej, aniżeli dymów w całej Polsce; ojcowie przyprowadzali nieraz wyrostków, siostry braci, żony mężów, narzeczone kochanków.

Gdyby intendentura francuska zdolna była przygarnąć tę całą młodzież, cisnącą się pod narodowe znaki, Polska wystawiłaby żołnierza nie czterdzieści tysięcy, jak myślał Napoleon, ale czterysta. Nie umiano ocenić tego zapału narodowego i bohater świata całego, dopiero, jako mitologiczny Prometeusz przykuty na bezludnej skale więziennej, błąd swój zrozumiał.

Książę Józef dotychczasową swą władzę zwierzchniczą, piastowaną po wyjściu Prusaków, złożył w ręce ustanowionej komisyi, a sam zajął się już jedynie formowaniem siły zbrojnej.

Pałacyk pod Blachą zamienił się na prawdziwe biuro werbunkowe, a lubo kobiet nie wypędzono z niego, musiały one opuścić całe pierwsze piętro, na którem dotychczas wszechwładnie panowały i mieścić się bądź na parterze, bądź na strychach, gdzie im tymczasem pourządzano sypialnie.

Narzekała na to wielce p. de Vauban, ale książę Józef tak zawsze pamiętny o jej wygodach, teraz zbywał ją lakonicznie, że jest to czas ofiar i poświęceń dla kraju. Pierwsze piętro zajął pułkownik Hebdowski ze swemi konskrypcyjnemi komisyami, w innych pokojach rozłożył się sztab z mapami i całym naukowym przyborem, a synowiec królewski zatrzymał dla siebie tylko maleńką ciupkę, w której pomieścić się dało żelazne łóżko żołnierskie.

Sypialnię tę poprzedzała audyencyonalna sala, w której przyjmowano interesantów, przedstawiających rekruta. Od piątej godziny rano zaczynały się już recepcye.

Dawny pieszczoszek królewski i gagatek popsuty hołdami pięknych pań, zrywał się już o tej godzinie, a otworzywszy zaraz drzwi swojej sypialni, ubierając się załatwiał interesa, do przybyłych wychodził i przy nich nieraz toaletę swą kończył.

Było to zapewne bardzo po żołniersku i po obozowemu, ale zjawiających się tutaj szlachciców podobne zachowanie się chwytało za serce, to też ze łzami błagali, aby zapisał ich synaczków w komput wojskowy, mimo, że książę często tłómaczyć się musiał brakiem miejsca w kadrach.

Dwaj adjutanci książęcy w karmazynowych, złotem szamerowanych mundurach, pełnili w biurze tem służbę, ale służba ta była raczej formalną, gdyż książę sam z każdym z interesantów musiał się widzieć i każdemu jakieś miłe słówko powiedzieć.

Jednym z takich adjutantów był znajomy nasz Szumlański, a wyznać należy, że stanowisko to obejmował on z pewną niechęcią. Kiedy bowiem zapewnił się o wzajemności pani Tyszkiewiczowej, kiedy zdobył to, co było najważniejszym celem jego żywota, nie chciał pozostawać bezczynnym i wolałby być tam, gdzie krew się lała, gdzie męstwem a walecznością mógł zasłynąć.

W czasach owych, gdzie zaszczyty, godności, ba, nawet trony zdobywały się jedynie militarnymi przymiotami, gdzie każdy żołnierz, wychodzący na wojnę, szedł z tem przekonaniem, że w tornistrze swym niesie marszałkowską buławę, dlaczegożby on nie mógł wystrzelić po nad zwykłych śmiertelników, dlaczegożby stanowiskiem nie miał dorównać tej, która w jego przekonaniu zanadto wysoko stała w stosunku do niego.

Na urzeczywistnienie atoli tych zamiarów ks. Józef teraz nie pozwolił. Tacy generałowie, jak Dąbrowski i Zajączek na polu działania mieli już wyrobionych oficerów, mieli starego i wytrawnego żołnierza.

Księciu Józefowi zaś dla formującej się legii, trzeba było instruktora, któryby już przeszedł przez służbę francuską, adjutanta obeznanego z formalizmem sztabu, zostającego pod zwierzchnictwem księcia Berthier, tudzież sprawnego pośrednika do porozumiewania się z władzami francuskiemi.

Lubo więc Szumlański z początku protestował przeciwko tej nominacyi na adjutanta i księciu się wymawiał, uległ jednak w końcu, a zapewne jednym z ważnych powodów do decyzyi takiej była myśl, iż pozostając tutaj, będzie miał ciągle cel umiłowania swego na oczach. Zakochani często w najbardziej wojowniczych zamiarach swych słabną i już greckie czasy znały boskiego Heraklesa, który nie wahał

się prząść kądzieli u stóp pięknej Omfalii.

Życie zresztą na dworze pod Blachą nie było wcale teraz próżniacze i jedwabne. Różniło się całkowicie od tego, jakie ongi pędzono w Jabłonnie lub w Warszawie. Teraz przez cały dzień trzeba było pracować szczerze, a radzający go w sposób tak cudowny, że zaraz pod wpływem tego czaru, gotówby był choćby na największe biedz trudy.

Nie potrzebujemy dodawać, że ową magiczną siłą, działającą na niego w ten sposób, były widzenia się z panią Tyszkiewiczową.

Lub w kryształowem powietrzu
Przędziwo Maryi Boskiej —
Rozpięte wiatru podmuchem —
W cudowne wiąże się zgłoski.

Mówią, że, jeśli z śmiertelnych
Kto cudne zgłoski odczyta,
Ten wielką tajnię zdobędzie,
Co w piśmie onem ukryta;



Józef Ryszkiewicz. **Złodzieje koni w Kongresówce.**

jeśli obowiązki służby, jeśli porozumiewania się z kwatermistrzami nie zamącały spokoju, to wypadało natrudzić się sowicie przy musztrach i przy nauce nowozaciężnych rekrutów.

Mieszkaniec kraju naszego ma do wojaczki wrodzone zdolności, to też przy zrobieniu żołnierza z rekruta, wiele trudności nie bywa, ale wytłómaczże tu i wbij w głowę zwykłemu Mazurowi musztrę francuską! Po tysiąckrotnem powtórzeniu: *Armes aux bras!* — będzie on zawsze karabin do nogi przykładał, a na komendanta patrzy, jakby na raroga lub jakiegoś zbiega od czubków.

Szumlański powracał więc zawsze z takich ćwiczeń bardzo zmordowany i nieraz-by może porzucił to ciężkie zajęcie, a gdzieś pod walczące znaki pośpieszył, gdyby hartu nie dodawała mu nigdy niewyczerpana i nigdy nie złamana wytrwałość ks. Józefa.

Pan ten snać wyraźnie na wodza się urodził, nic go bowiem nie zrażało, a kilkoma słowy, właściwie wypowiedzianemi do prostaczka, osiągał on nieraz prędzej skutek, niż gorliwą i bodajby najdłużej trwającą nauką.

Ilekroć jednak Szumlański zmordowany trudami, znękany i przybity wracał do pałacyku pod Blachą, spotykał tu zawsze otuchę i zdrój rozkoszy, od-

Widzenia takie odbywały się codziennie, ks. Józef bowiem, po spędzeniu dnia w pracy żelaznej, na wieczór przychodził nietylko sam do parterowego saloniku, gdzie urządzono tymczasowy punkt zborny dla niewiast, ale sprowadzał zarazem cały swój sztab, jaki był pod jego rozkazami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Babie lato.

Jak rój liliowych motylków,
Wiatr rozwiał naokół świąta
Perłowe, srebrne i białe
Niteczki babiego lata.

Zrywa je, rzuca w powietrze,
Przędzę wydyma jak żagle,
Skręcił je w esy — floresy
I umknął z niemi wraz nagle.

Jedne rozsnuwa po ziemi,
Inne daleko poniesie
I między złote drzew liście
Rozpina kędyś po lesie.

Tak zawieszona niteczka
Niby przez pryzmat — od słońca
Chwyta promienie i świeci
Barwami tęczy jarząca.

Ten pozna bytu początek,
Wielką zagadkę istnienia
I twórcze siły natury
I wielką myśl przyrodzenia...

Wiatr wionął... niteczki białe
W lot się zerwały jak ptaki —
Za niemi lecą znów inne
I lecą w kraj — Bóg wie — jaki...

K. P.

W Norwegii.

W trzecim dniu stworzenia, gdy Bóg rozdzielał ziemię i morza, o Norwegii widocznie zapomniał.

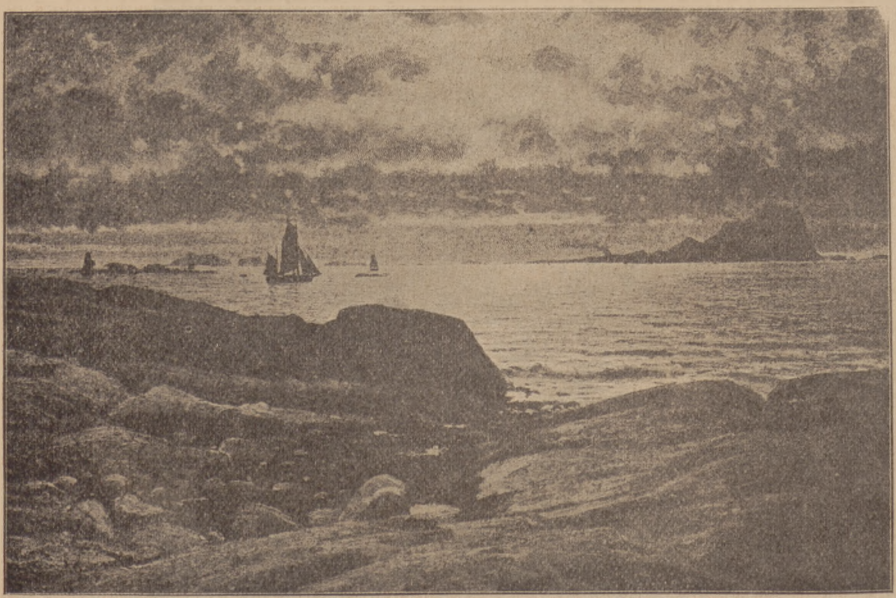
Wszędzie wysepki; to prawdziwa mleczna droga oceanu. Wysepki te są rozmaite; małe, okrągłe i nizkie, podobne do wielorybów zanurzonych do połowy w wodzie, inne większe o lekkich kształtach, a przy lądzie jeszcze inne, jak olbrzymie masy górzyste. Najbliższe, mają pozór metaliczny starych, zużytych bronzów; silne i pełne życia, o pięknych powłóczystych liniach, odzwierciedlając w sobie świetne refleksy słońca, wyglądając jak wspaniałe resztki rzeźb z innego stulecia; nieco dalej, ukazują się bledsze, rozbłękitnio-

ne w horyzoncie, barwą nieuchwytnego błękitu, która odbiera im wszelki pozór rzeczywistości. Ten archipelag północny jest skalistą granicą skandynawskiego kontynentu; to fortyfikacya, wystawiona naprzód, która wznosi się przed pełnem morzem i łamie wysiłki oceanu, dopuszczając do lądu tylko ujarzmioną falę, poddaną człowiekowi.

Nieruchoma w rozkosznem i wspaniałem oświetleniu zimnego słońca, spokojna woda jest zupełnie podobna do bladego nieba, od którego żadna widoczna linia jej nie dzieli. Bezwładne skały tkwią w wodzie, jakby pływały i zdaje się, że gdyby się ich ręka dotknęła, usunęłaby się pod palcem. Błyszcząca i gładka powierzchnia morza, która nic nie odzwierciedla, z łatwością nosi na sobie wyspy bez podstawy, które z powodu mirażu ukazują się nam czasami w podwójnych kształtach. Jest to żywioł bezbarwny, nieokreślony i nieprawdopodobny, prosta powierzchnia bez pozornej głębi, po której suniemy się jak kulisy na scenie, a gdzie przedmioty przedstawiają się jak dekoracye; to niebo płynne, tak samo lekkie i nieuchwytne jak tamto w górze.

Zwolna i szlachetnie przepływa statek norweski, wysoki, podniesiony z przodu i z tyłu, z wielkim kwadratowym żaglem barwy krwi: zawsze ten sam stary statek Wikingów, który pokazują cudzoziemcom w Chrystyanii; inne płyną za nim jakby zrezygnowane, posuwają się z trudnością z powodu zbyt spokojnego powietrza.

Nietylko spokój, nietylko szczęście tchnie z tej przyrody nieruchomej i milczącej w swoich dniach bez końca; czaruje nas ona świetlaną miękkością przedmiotów i przejrzystą ich lekkością, ale miesza nas swoją tajemniczością i magiczną fantazyą, oblekającą ten kraj pełen snów. Nieopisana melancholia przenikła duszę wobec tego zdrętwienia świata w śnie i marzeniu i czuje się, jakby wyrzut, że się doznaje rozkoszy, używając tych słodyczy, które wydzielają się z tej nieprawidłowej natury. Głos swój znajduje ta natura w niespokojnych i czułych krzykach wielkich goelandów, które ponad naszemi głowami zakręcają swoje uroczyste ewolucye, skandując żałosnem nawoływaniem poruszenia skrzydeł i płynąc w powietrzu nizko nad ziemią: ptak poety — mówi Ibsen — za lekki na falę, za ciężki na niebo.

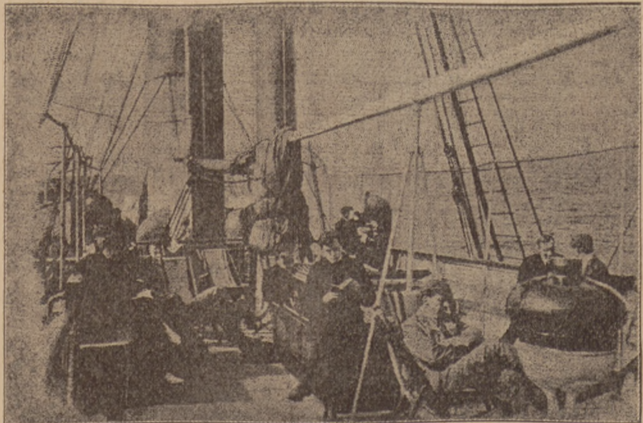


Przy norweskiem wybrzeżu.

Przy Lofotach. — Opalona przez burze, groźne na tle chmurnego nieba wznosi się tragicznie ściana Lofotów, ten łańcuch górzysty o gwałtownych kształtach, zawikłane napiętrzenie szczytów, iglic i szpiców nagromadzonych bezładnie i ubitych jakby przez olbrzymiego żelaznego kowala. Im więcej się zbliżać, tem fantastyczniejszą ukazuje się ta firanka ciemności, wznosząca się przed oczami: czarna masa skalista nie wygląda ani jakby się zagłębiała w bladem i błyszczącem morzu, ani jakby mu ciążyła. Żadnej powierzchni gładkiej, tylko skały popstrzone wszędzie zielonawymi lodowcami i płatami śniegu pomiędzy błękitnemi przepaściami. Tu i owdzie, przekradając się z pomiędzy chmur, przebłyskuje promień słońca, podobny do pasma światła elektrycznego, oświetlając nagle jakąś skałę nagą i gładką, głaz czerwony, jak refleks nocnego ogniska, dziewiczy lodowiec, zielony zakątek w tej smutnej pustyni, a potem znowu wszystko zapada w cień, nieruchomość i spustoszenie; możnaby myśleć, że to przedhistoryczne światy.

W zimie, gdy pięć tysięcy statków rybackich bywa zaskoczonych burzą w tym strasznym Vestfiord — przepaść, w której przewalają się wszystkie fale Atlantyku ze wszystkimi swoimi łupami, — pomyślmy sobie jakich dramatów jest świadkiem ta bezradna wioska ukryta tam, pośród załomów szarych skał, zbudowana, jakby tymczasowo na wysepkach, tworzących port dla niej, ze swojemi czerwonemi, białemi i żółtemi domkami, tak spokojna dzisiaj w tym letnim spokoju, w przerwie pomiędzy walką żywiołów. Owego porywającego wrażenia tragedyi morza i śmierci czyż nie mamy przed sobą w obrazie tego apokaliptycznego chaosu Lofotów, w potwornym wytworze wieczystej walki pomiędzy ziemią a wodą? Co za przerażające widmo!

Harstad. — Okolica wielkich wysp. Jak w podróży odkryć, statek szuka swej krętej drogi w ciasnych przejściach bez widocznego wyjścia, okolonych zielonemi wzgórkami i ciemnemi górami staczającemi się prostopadle, które wysuwają swoje przylądki na naszą morską drogę. Międzymorza i zakręty następują jedne po drugich, zatoki, cieśniny i przylądki mnożą się; niepodobna odgadnąć drogi, którą pilot nas prowadzi na tych drogach przerywanych, które gubią się i odnajdują, jak ścieżki w lesie. Spokojna woda



Na okręcie.

łagodnie podmywa brzeg skał białych, zielonych od mchu lub obrosłych brunatnemi algami, a jasne pagórki, na których rośnie twarda trawa, odcinają się na tle śniegu gór na horyzoncie, jak pejsaż letni przed zimowym; wszystko błyszczy, wszystko odzwierciedla światło nizko stojącego słońca, bladego słońca, które przez trzy miesiące w roku udziela życia tej ziemi.

Miasteczka rzadko się spotykają w tej coraz dzikszej samotni, pośród tej zbiedniałej przyrody. Oto jedno, rozciągające z dwóch stron przesmyku mającego około mili szerokości: trzy czy cztery tuziny domków, pomalowanych żywymi kolorami, daleko stojące jedne od drugich, skupiają się nad wodą w otoczeniu potężnej północnej zieleni. Smukły i wysoki, wzniesiony na szczycie skały, stoi kościół z białego drzewa w samym środku. Oto dusza tego miasteczka. Dzisiaj, z powodu niedzieli, mieszkańcy, przybyli w łodziach, grupują się w około kościoła, a po skończonem nabożeństwie, — przy cmentarzu, który kiedyś wszystkich przygarnie. To całkiem ów wielki kościół Branda.

.. *Tromsoe.* — Deszcz pada od samego rana ;nie można rozróżnić nieba od ziemi a góry błękitnawe, które zdają się zamykać przesmyk ze stron obu, ukazują się tylko przez chmurę. A przecież Tromsoe wydało nam się bardzo ładne dziś rano o świcie, w czas zimny i wilgotny, jak coś tajemniczego i wymarzonego pod tą zasłoną przejrzystej gazy. Czyż naprawdę znajduje się miasto, mające sześć tysięcy dusz, poza temi kilkoma drewnianemi chałupkami, zbudowanemi na palach, które przy odpływie morza wydają się jak rusztowanie sceny w teatrze, a przy których roją się owe norweskie łodzie, żółte lub zielone, tak lekkie, zgrabne, eleganckie? Zbliżmy się do wybrzeża, przeciętego magazynami, ustawionemi szeregiem jak wojsko, naprzeciw portu. Pod tymi starymi budynkami niepewnej trwałości, drżąca woda odbija w sobie spróchniałe pnie, wywrócone łodzie, algi wilgotne, a ruch łodzi wywołuje na płynnem zwierciadle drżące barwy błękitne, żółte, czarne i zielone.

Oto wybrzeże: dalej wielkie, za szerokie ulice z ubitej ziemi, malutkie domeczki drewniane, szerokie a puste place: osada, która tworzyć się zaczyna. Myślę o podobnem mieście w Dakota, widzianem dawniej, zaludnionem przeważnie przez Norwegczyków. Tak samo ostry klimat, takie same twarde życie, to samo wrażenie czegoś niedokończonego, prymitywnego, tylko, że tutaj czuje się naturę starszą i więcej unieruchomioną.

Typy ludzi na ulicach charakterystyczne: wielkie postacie, zaledwie obciosane jakby siekierą, oblicza twarde, rysy ostre, fizyonomie brutalne i surowe, które wydają się pochylone, jakby w rodzaju wewnętrznego skupienia. Ruchy krótkie, sztywne, bez wdzięku ; chód szybki, spojrzenia zdają się bujać ponad przedmiotami: chwilami się rozpalają, a w tych błyskawicach czuć zachwyt pietystów, ukryty pod oziębłością północnego temperamentu. Życie moralne jest widocznie więcej tutaj rozwinięte niż życie materyalne i więcej skupione; odgaduje się pomiędzy nimi fanatyków i egzaltowanych.

Lyngenfiord. Fiord wązki i długi,



Kościół w Tromsoe.

podobny do starej jaszczurki, wydrążony prosto na czterdzieści kilometrów długości w przepysznym Oberlandzie północnym jak głęboka, otwarta rana wydarta u boków kontynentu. Ciemna góra na piętnaście tysięcy metrów wysokości, uwalniając się od śnieżnych swych więzów, krępujących ją u szczytu, pokrajana w piramidy olbrzymie, przedzielone lodowcami, które od szczytu schodzą aż do samego dołu kamiennej ściany, kąpie się w bladej i martwej wodzie.

Oto mamy przed sobą Niagarę zamarzniętą, pięknej barwy nadnaturalnego błękitu; rozwala się najprzód na swojem krętem łożu, potem rzuca się naprzód jednym prostopadłym skokiem i skupia się na dwadzieścia metrów przestrzeni w gęstą i pienistą kaskadę, podczas gdy za jej dotknięciem skała zabarwia się wspaniale w półcieniu, a ubielone fale pod naszemi stopami wydają się szerokiem mlecznem morzem. Dalej, pod chmurami kryjącemi szczyty, lodowce olbrzymie skupiają się, tłocząc się jedne na drugie jak bałwany wzburzonego morza.

Ocean lodowaty. O północy. — Zbliżamy się do Finisteru północy, do Cap Nord, płynąc pomiędzy rzadszemi tutaj wyspami, koło wybrzeża, poszarpanego twardą falą Północnego morza. Gładka i bezbarwna, blada woda — barwy trupiej — wydaje się zaledwie płynna, ciężka jak ołów roztopiony, zmęczona tulaniem się bezustannem w pustyni Oceanu, aż do tego punktu obezwładnienia i tajemnicy, jakim jest ta okolica. Podnosi się regularnie ruchem uroczystym i bardzo wolnym, który odbywa się w głębi wody, zaledwie poruszając powierzchnią, a w tym spokojnym ruchu morza czuć jakby oddech szeroki, bolesne i przygnębiające drżenie olbrzymiego bożyszcza mitologicznego. Niema już tutaj strasznego i wspaniałego potwora, jakim jest Atlantyk, ani młodego, świetnego bohatera z kanału la Manche, ani kapryśnego i lekkomyślnego dziecka ze Śródziemnego morza; to element bardzo stary, jeszcze potężny, ale ciężki, zmęczony życiem.

To trupio blade morze błyszczy światłem matowem, tłustem, prawie płydnem, więcej błyszczącem niż niebo, które ono oświecać się zdaje, to niebo mroczne, błękitnawe, poznaczone długiemi pasmami czerwonemi pod ukośnymi promieniami słońca, świecącego o północy. Na prawo, ziemia ukazuje się blada, w martwocie swoich skał szarych; możnaby mniemać, że silne światło północne zabrało jej wszystkie barwy, podczas gdy klimat skazał ją na bezpłodność. Pagórki ukazują swoje pryzmatyczne kształty, jak w krystalicznym świecie. Tutaj zaczyna się puszcza, bezwładność i wieczne milczenie; wchodzi się w ponurą a wspaniałą dziedzinę snu; przechodzi się ze świata realnego do cudów: to koniec świata. Jeszcze dzień, ale w tem grobowem i sztucznem oświetleniu, *które z rzeczy pochodzi* przez promieniowanie; pod temi ciężkiemi chmurami barwy pożarnej, przedmioty są niedotykalne, jak wielkie widma bolesne, widma, któreby zniknęły, gdyby się ich dotknąć.

Tam, dalej, wznosi się nagłym rzutem Cap Nord, czarny i nagi jak trup w rozkładzie, złowrogi i bezpłodny. I oto wszystkie małe rybackie łodzie, poważnie i odważnie płyną prosto ku północy, w tajemnicze okolice nieznane, płyną samotne i mężne...

(Dokończenie nastąpi).

Rzeź w Baku.

Według pamiętnika naocznego świadka.

Pewien mieszkający w Baku Wiedeńczyk, który był świadkiem straszliwych rzezi w Baku nadesłał redakcyi wiedeńskiego „Tageblattu“ opis wypadków w pierwszych dniach rzezi, opis trzymany w formie pamiętnika.

Dnia 2-go września. Pióro jest za słabe, aby to wszystko, co się tu dzieje, opisać. Rabunek i morderstwo odprawiają tu znowu piekielną orgię. Sześć miesięcy upłynęło od ostatniej masakry. Rząd więc miał dość czasu, aby dzikie i rozpasane elementy rozbroić i do jakiegoś porządku nakłonić. Ale rząd przeciwnie, tolerował przemycanie broni i masowe zakupy naboi. Każdy mieszkaniec Baku wiedział o tem, nie wyjmując tych, którzy powinni byli o tem z urzędu wiedzieć, a z innych powodów udawali, że nie wiedzą.

Jakby na dany sygnał rozpoczęła się wczoraj o godz. 5-tej po południu straszliwa rzeź. Każdy chwytał za broń i strzelał do pierwszego lepszego przechodnia innej niż napastnik narodowości. W ciągu kilku minut straszna ta rzeź rozprzestrzeniła się na całe miasto. Na wszystkich ulicach leżały trupy i ranni. Ze wszystkich dachów strzelano do siebie z rewolwerów i karabinów. Na rogach ulic ustawiły się bandy uzbrojonych od stóp do głów Tatarów, czyhając na ofiary swojego rozpasania.

Wreszcie po całogodzinnej rzezi wyruszyło na miasto wojsko, które natychmiast otrzymali rozkaz strzelania. Kozacy i piechota strzelali bez pardonu zarówno do Tatarów jak do Ormian, którzy mimo całej nienawiści, jaką pałają do siebie, wspólnie zwrócili się przeciw wojsku. Do północy słychać tylko huk salw, trzask rewolwerów, przekleństwa, sygnały wojska i jęki... Większej części wojska użyto do ochrony banków i gmachów publicznych, jak również do rozpędzania nadciągających z okolicznych wsi band tatarskich. O wschodzie słońca rzeź rozpoczęła się na nowo. Ja sam znajdowałem się w położeniu bardzo krytycznem. Byłem oddalony od swego mieszkania o pół godziny drogi, w dzielnicy zamieszkałej przez najgorsze i najzaciętsze elementy tatarskie. Schroniłem się do poblizkiej łaźni robotniczej, gdzie przepędziłem około sześciu straszliwych godzin, wśród ciągłego huku strzałów i wrzasków rozwścieklonej tłuszczy. Tylko dzięki temu, że w łaźni znajdował się pewien Anglik, który telefonicznie odniósł się do swego konsula o pomoc, udało mi się wreszcie razem z tym Anglikiem opuścić kryjówkę pod silną eskortą kozacką. Jeszcze leżą trupy, rozkładające się pod promieniami południowego słońca. Naprzeciw moich okien leży kilka trupów. Wojsko nie otrzyma posiłków prędzej jak po tygodniu. Nadzieja nasza tylko w Bogu.

3-go września. Sytuacya coraz groźniejsza.

Wojsko traci siły, nowego wojska nie ma. Z Bałachanów i Bibi Ajbatu przybiegają zbiegowie, przynosząc straszne wieści o rozgrywających się tam scenach. Całe miasto przysłonięte jest chmurami czarnego dymu. Słońca nie widać. W południe panuje tu wieczorny zmrok.

4-go września. Ormianie widzą swą bezsilność i uspokajają się. Mimo to na wojsko rzucają bomby. Wojsko mając dwie jedyne na całe Baku armaty, bombarduje niemi te domy, z których padają bomby. Tatarzy napadają na letni teatr za miastem i wyrzynają służbę w gmachu się znajdującą do nogi. Ormianie proponują gubernatorowi pokój. Ale Tatarzy nie chcą się zgodzić i rżną dalej. Anglicy wynajmują statek i gromadzą się wszyscy na jego pokładzie. Austryacki konsul konsygnuje wszystkich austryackich i węgierskich obywateli w lokalach konsulatu. Na jego prośbę o asystencyę wojskową, przysyła gubernator — dwóch żołnierzy (!). Mają oni imitować ową ochronę, którą rząd daje cudzoziemcom.

5-go września. W nocy znowu strzelano. Wiele domów spłonęło. W mieście wszystek ruch ustał. Brakuje najpotrzebniejszych środków żywności. Co przyniosą najbliższe godziny, niewiadomo...

* * *

Przyczyny rzezi w Baku przedstawia korespondent petersburski wiedeńskiego „N. W. Tageblattu“ w sposób następujący:

Jednym z najenergiczniejszych pionierów starego biurokratyczno-policyjnego systemu podżegania jednej narodowości przeciw drugiej był zamordowany w lecie książę Nakaszidze, który nie tylko nic nie zrobił, aby pogodzić Ormian z Tatarami, ale przeciwnie poruszał wszystkie sprężyny, aby Tatarów przeciw Ormianom podburzyć. Pod tym względem nie cofał się on przed żadnym środkiem. Ks. Nakaszidze kupował za pieniądze rządowe karabiny i sztylety dla Tatarów i pouczał ich, aby ormiańskim wrogom swoim nie dawali pardonu. Ze stanowiska administracyi rosyjskiej Ormianie jako najsilniejszy i najlepiej zorganizowany element rewolucyjny w Rosyi, powinni być poprostu usunięci z oblicza ziemi. Cel ten miano osiągnąć przy pomocy Tatarów i pod pozorem żywiołowego wybuchu nienawiści rasowej. Na polityce tej stracił dotąd rząd rosyjski kilkaset milionów rubli i zwrócił przeciw sobie nienawiść Tatarów. Jakie ona dalsze skutki za sobą pociągnie, okaże się niebaweem.

Trzęsienie ziemi we Włoszech.

W bieżącym miesiącu wielką przestrzeń Włoch południowych nawiedziła, jak wiadomo, straszna klęska. Trzęsienie ziemi przebiegło szerokim pasem całą Kalabryę, Basilicę i Apulię, niszcząc wsie i miasteczka, wypędzając z domów miliony spłoszonych mieszkańców, odbierając wielu z nich życie. Podane niżej szczegóły pozwalają wnosić, że klęska należy do większych katastrof wulkanicznych, jakie nawiedziły półwysep Apeniński. Ostatnie ślady trzęsienia ziemi dały się odczuć z jednej strony w Sycylii, z drugiej aż daleko w środkowych Włoszech koło Florencyi.

W ostatnich czasach nie brak było prognostyków, nakazujących się obawiać, że w łonie ziemi przygotowuje się katastrofa, grożąca ruiną i zniszczeniem. Od dłuższego czasu aparaty seismograficzne Europy środkowej notowały żywe ruchy powierzchni kuli ziemskiej, a przed paru tygodniami w kilku miastach niemieckich, na linii Elby, zauważono lekkie, ale wyraźne wstrząśnienia. Później zapisano trzęsienie ziemi w Czarnogórzu i Albanii, gdzie przybrało ono większe rozmiary, wyrządzając szkody i wywołując panikę. Wreszcie przed kilku dniami doniesiono o silniejszym wybuchu lawy na Wezuwiuszu.

Obliczają, że w ostatniem trzęsieniu ziemi zginęło około 300 osób. Dziesiątki wsi i miasteczek zamieniły się zupełnie w gruzy lub są tak spustoszone, że miesiące, a nawet lata miną, zanim wrócą do dawnego stanu.

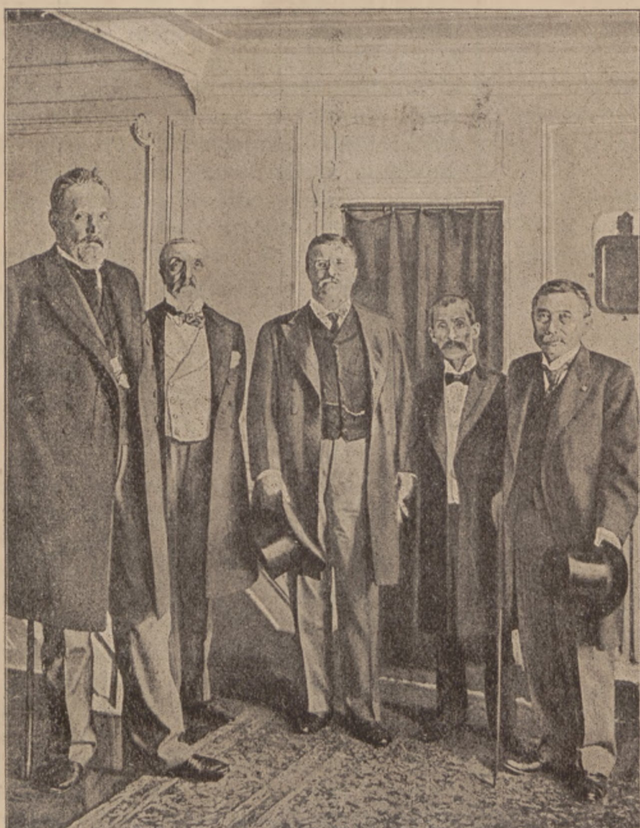
Przerażające, okrutne sceny nie dadzą się wcale opisać; serce się krwawi wobec nieludzkiego widoku, jaki przedstawiają ofiary z pod gruzów wydobywane. Tu widać zbroczone krwią głowy i straszliwie okaleczone członki ciała na kamieniach, na meblach; tam na gruzach budynków olbrzymie kałuże krwi i szczątki rozbryzganych mózgów. Zdjęci trwogą i przerażeniem, stoją bezradni wobec bezmiaru nieszczęścia, ci, którzy uszli zagładzie. Tępy ból i przygnębienie przemawia z ich bladych twarzy, niektórzy wpada-

jają w obłęd i gdy lud śle do Wszechmocnego gorące prośby i modły, i wzywa pomocy Najświętszej Panny, odbywa się przenoszenie rannych na pokrytych chustami i pościelą stołach lub drabinach do stacyi opatrunkowych w polu naprędce urządzonych. Te pochody bez końca, to noszenie ranionych

rabiających stalówki, pióra i atramenty, proszących, ażeby traktat podpisany był przy pomocy ich wyrobów. Witte podpisał traktat piórem złotem, podanem mu w ostatniej chwili przez dra E. J. Dillona, znanego publicystę angielskiego, korespondenta *Daily Telegraphu* w Petersburgu, wysłanego u-

Bohaterkami powieści są dwie siostry przyrodnie, córki hrabiego; jedna z nich jest owocem nieszczęśliwej miłości.

Siostra czyha na śmierć siostry, aby wydrzeć spadek blisko czteromilionowy.



Sekr. st. Witte. Baron Rozen. Roosevelt. Komura. Takahira



Baron Komura. Sekr. Sato.
Pełnomocnicy japońscy.

Zawarcie pokoju. Główni działacze, powołani do zawarcia traktatu pokojowego przebywali razem na pokładzie okrętu „Mayflower". Tam też wykonane zostały fotografie, których podobiznę tu podajemy.

i zabitych, wywołują wstrząsające sceny bólu i żalu, bezsilnego gniewu i przekleństw. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, rzucają się, zawodząc głośno, na nosze i okrywają pocałunkami zwłoki lub rannych. *Z.*

Z chwili.

Wśród bicia dzwonów kościelnych podpisano w Portsmouth traktat pokojowy kładący kres wojnie trwającej półtora roku. Pełnomocnicy powracają do swych krajów. Obecnie powstaje tylko formalność ostatnia, zwana ratyfikacyą'' pokoju, to jest podpisanie go przez monarchów Rosyi i Japonii, i wzajemna wymiana tych historycznych dokumentów.

Na placu boju tymczasem toczą się układy co do szczegółów zawieszenia broni, mającego trwać do chwili ratyfikacyi.

W ciągu ostatnich dni przed podpisaniem traktatu w Portsmouth pełnomocnicy i sekretarze byli formalnie oblegani przez przedstawicieli firm, wy-

myślnie przez redakcyę do Portsmouthu. Dillon ze wszystkich publicystów zagranicznych jest może najlepszym znawcą stosunków rosyjskich. Jego sprawozdania miesięczne ze spraw zagranicznych, drukowane w *Contemporary Review*, zyskały rozgłos.

—ski.

Niniejszy numer jest ostatni w nowym kwartale, więc czas największy odnowić przedpłatę, na nowy kwartał.

Każda poczta niemiecka i każdy listonosz w mieście i na wsi zobowiązany jest do przyjmowania przedpłaty każdego czasu, która wynosi na kwartał

tylko 1 m. 25 fen

„Dla milionów"

Pod tym tytułem rozpoczniemy niebawem w jednym z najbliższych numerów druk nadzwyczaj interesującej, obszernej, kilkotomowej powieści.

Powieść

„Dla milionów"

obfituje w nadzwyczaj ciekawe epizody i jest zapełnioną od początku do końca bardzo sensacyjnemi opisami; wogóle powieść będzie w swym rodzaju tak zajmująca jak „Śpiewaczka ludowa."

Jeżeli Czytelnik chce odbierać „Pracę" bez zwłoki i przerwy, winien zapisać ją *jaknajwcześniej*, abyśmy mogli uregulować odpowiednio nakład.

Do Galicyi.

Szan. naszych Czytelników w ***Galicyi*** i wogóle w ***Austro-Węgrzech*** upraszamy uprzejmie, aby zechcieli zapisać sobie „Pracę" *na poczcie,* zamiast przesełać przedpłatę do naszej administracyi, gdyż wypadnie im to taniej, a nam oszczędzi się mozolnej przesełki „Pracy" w kopertach.

„Praca" kosztuje na pocztach austryackich tylko

1 kor. 99 hal. z odnoszeniem.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczone są przed inseratami pod okładką.

Pod opaską wynosi przedpłata kwartalna:

w Galicyi i Austro-Węgrzech:
2 kor. 30 hal.
we Francyi i w Belgii:
4 franki.
w Anglii:
3 szylingi.
w Ameryce:
1 dolar.

W ostatnim czasie odbieramy coraz częstsze zażalenia od naszych agentów i czytelnikow na prowincyi, że nie otrzymują regularnie i na czas „Pracy“ z poczty.

Administracya nasza wysyła pocztą w paczkach najregularniej wszystkim agenturom „Pracę“ w każdy piątek po południu, jednocześnie oddaje tutejszej głównej poczcie w każdy piątek „Pracę“ dla tych Czytelników, którzy abonują wprost na poczcie i mieszkają w dalszych stronach, mianowicie w Nadrenii, w Saksonii itd., dla tych zaś Czytelników, którzy także wprost abonują na poczcie i mieszkają bliżej Poznania na prowincyi, oddaje Administracya „Pracę“ w sobotę rano tak, że każdy abonent nawet zamieszkały w odległych stronach może i powinien odebrać „Pracę“ najpóźniej w niedzielę rano, zatem wina nieregularnego odbierania „Pracy“ z poczty polega tylko na poczcie a nie na nas.

Upraszamy te wszystkie osoby, które odbierają „Pracę“ z poczty na prowincyi nieregularnie, aby nas o tem uwiadamiały bezzwłocznie, a my celem zaradzenia złemu udamy się z zażaleniem do naddyrekcyi poczty.

Agentury „Pracy“.

Poznań.

Ul. Berlińska	nr. 12	Lisiewicz
„ Bramkowa	„ 14	Różański
„ Chwaliszewo	„ 6	Łaganowski
„ „	„ 58	Orwat
„ „	„ 67	Koltermann
„ „	„ 69	Ofierski
„ Grobla	„ 20	Stefański
„ Wielk. Garbary	„ 1	Sosnowski
„ „ „	„ 51	Ryster
„ Małe „	„ 8	Lewandowski
„ Jezuicka	„ 12	Mikołajczak
„ Św. Marcin	„ 9	Cybulski
„ „ „	„ 41	Lamparski
„ Mokra	„ 1	Krzywińska
„ Półwiejska	„ 6	Krug
„ „	„ 8	Jeszka
„ „	„ 38	Kostański
„ „	„ 17	Siewicz
„ Posadowskiego	„ 31	Waligórski
„ Stary Rynek	„ 35	Turowski
„ „ „	„ 45	Machiński
„ „ „	„ 74	Zupański
„ Strzelecka	„ 23/4	Iłowiecka
„ Szeroka	„ 27	Minicki
„ Śródka	„ 8	Matczyński
„ Wodna	„ 4	Zabłocki
„ Wrocławska	„ 3	Szulc
„ Wiktoryi	„ 19	Szafranek
„ Wilhelmowska	„ 13	Wichrowski & Święcicki
„ „	„ 17a	Sokołowska
Pl. Wilhelmowski	„ 14	Becker
„ Św. Wojciech	„ 26	Rybka
„ Żydowska	„ 30	Kaczmarek
„ Zagórze	„ 5	Tokłowicz
„ Zawady	„ 13	Wojciechowski.

Łazarz.

Ul. Alejowa	nr. 11	Grygiel
„ „	„ 14	Frąckowiak
„ Głogowska	„ 84	Wojtarska
„ „	„ 89	Szmytkiewicz
„ „	„ 89	Ignasiak
„ Gutenberga	„ 3	Stachowiak
„ Kanałowa	„ 15	Kernchen
„ Książęca	„ 5	Zaremba
„ Łazarska	„ 2	Kaczmarek

Wilda.

Ul. Fabryczna	nr. 4	Magdziasz
„ Gneisenau'a	„ 41	Karaś
„ Następcy tronu	„ 9	Tybiszewski
„ „ „	„ 35	Sarna
„ „ „	„ 110	Kosicka

Górczyn.

Skowroński

Jeżyce.

Ul. W. Berlińska	nr. 54	Chmielewski
„ „ „	„ 63	Śniegocki
„ „ „	„ 65	Lewandowska
„ Ces. Fryderyka	„ 13	Prokop
„ „ „	„ 18	Dźwikowska
„ Jadwigi	„ 28	Dressler
„ Kościelna	„ 4	Marcinkowski
„ Moltkiego	„ 26	Iłowiecka
„ „	„ 22	Horęziak
„ Poznańska	„ 29	Mikulska
„ Średnia	„ 12	Dolacki
„ Ces. Wilhelma	„ 28	Bąkowska

SKŁADKA.

— **Na suchotnika „Sokoła“ w Zakopanem** złożyli w dalszym ciągu: „Sokół“ z Kościana II rata 8 mk. 50 fen; „Sokół“ z Czempinia 5 mk; „Sokół“ z Herne 24 mk. 43 fen; „Sokół“ z Hombruch 4 mk. 95 fen. „Sokół“ z Rauxel 6 mrk; „Sokół“ z Obornik 7 mrk. „Sokół“ w Wanne I 9,60 m.

Razem złożono na cel powyższy do dnia 19-go b. m. 425 mk. 4 fen.

O dalsze datki gorąco prosimy.

Wiadomości.

— **Frymarka ziemią.** Handel ziemią stanowi smutną rubrykę w handlu naszym, tem smutniejszą, że tak często słychać: ten majątek zagrożony, około tam tego agent się kręci, znana kreatura komisyi kolonizacyjnej i td. Źle jest. Na dowód oto następujące wieści.

Czytamy w „Dzienniku Poznańskim“: „Pan Matuszewski w Czerlejnku pod Kostrzynem sprzedaje swoje gospodarstwo, ziemi przeszło 250 mórg.

Byli też kupcy Polacy, lecz kolonizacya pruska daje najwyższą cenę.

Czerlejnko, czysto polska wioska, z przyległem Czerlejnem, znanem z mieszkania ś. p. posła Głębockiego. Gospodarze mienni niechby ratowali przez kupno ten szmat ziemi dla swych synów, albo też pomiędzy siebie rozparcelowali! Po panu Matuszewskim spodziewamy się, że jako Polak i ojciec licznej rodziny oprze się pokusie i nie sprzeda obcym swojej ziemi.

J. Wolniewicz z Kostrzyna.“

Czytamy w „Postępie“: „Niedawno nabyty od Niemca, p. Schlattauera folwark Wielkie pod Poznaniem, 4 kilometry od Górczyna, przejdzie prawdopodobnie z braku kupca Polaka, z powrotem w ręce niemieckie, Właściciel folwarku, p. Kędzierski, oświadczył, że Polakowi chętnie o 5 tysięcy marek taniej sprzeda, niż obcemu.“

Kawiary pod Gnieznem, 210 mórg obszaru, przeszły w ręce p. Bukały z Włostowa pod Strzelnem. Jak nam donoszą — pisze „Dziennik Poznański“ — Włostowo przejść ma teraz w ręce niemieckie „z powodu, że polski kupiec się nie zjawia“.

Prezydyum „Straży“ odebrało wiadomość, że majętność Bożejewiczki, około 1300 mórg dobrej, tuż pod Żninem położonej ziemi, poważnie jest zagrożona i że przejdzie w ręce kolonizacyi. Dawniejszy właściciel p. Zalewski, zawarowawszy sobie przy sprzedaży prawo odkupu (Wiederkaufrecht), obecnie pertraktuje z agentem p. K. S. o odkupienie tegoż majątku i już taksę wyznaczono. Majątku, jak nam wiadomo, p. Z nie posiada.

Z poważaniem

Kaz. Kozłowski. Dr. Kaz. Bogdański.

Zawory pod Chrząstowem w powiecie śremskim, własność p. Krola, Polaka, — jak piszą do „Dz. Pozn.“ — są poważnie zagrożone i prawdopodobnie przejdą na własność fiskusa domen, jeżeli nie znajdzie się kupiec Polak. Zawory mają 1800 mórg obszaru. — O ile nam wiadomo, sprawą tą zajęła się jedyna z naszych instytucyi i uczyni wszystko, co tylko będzie możliwem, aby kawał ziemi polskiej uratować.

Dobrylewo (Gutenwerder) w powiecie żnińskim, własność polska, ma podobno również przejść w ręce niemieckie. Donoszą o tem „Orędownikowi“ ze strony wiarogodnej, prosząc o zwrócenie uwagi instytucyom parcelacyjnym.

W Woźnikach pod Gnieznem kupił w maju niejaki Adolf Wolf 62-morgowe gospodarstwo od gospodarza Wilkosza i sprzedał je kolonizacyi. Wolf, mówiący dobrze po polsku — jak pisze „Lech“ — przechwala się, że w ten sam sposób zdobędzie dla kolonizacyi jeszcze wielką ilość innych gospodarstw polskich.

Bartodzieje pod Wągrówcem — jak piszą do „Postępu“ — sprzedał właściciel p. Degler, Polak, Landbankowi za 150 000 mk., a jego szwagier, mieszkający o kilometr od Wągrówca, pertraktuje z komisyą kolonizacyjną o sprzedaż Taszarowa, na której zarobi podobno 16 000 mk.

Korespondent „Postępu“ skarzy się, że Komitet wyborczy w Wągrówieckiem

za małe urządza wieców i nie przyczynia się do budzenia świadomości narodowej.

Wróble nabyte od p. Maryana Grabskiego przez p. Baumgarta, jak doniósł „Pos. Tagebl.“ przeszły już na kolonizacyę. P. Baumgart zaś nabył dobra Złotniki położone przy kolei Inowrocławsko-Bydgoskiej, Tak więc, pisze „Dz. Kuj.“, znów spora masa ludu polskiego dzięki zasłudze narodowej p. Grabskiego musi ustąpić miejsca z rodzinnych Kujaw przybyszom niemieckim z Zachodu. Coraz piękniejsze widoki nasze na przyszłość.

Pan Stefan Krause, dawniejszy posiedziciel Dębin (Hoheneichen) w powiecie grudziądzkim, nabył w tych dniach wieś rycerską Wojnowice (Gr. Woidsdorf) pod Wrocławiem, obszaru 2500 mórg, za 650 tysięcy marek od p. barona Schmelinga z San Remo. Wojnowice jest majątek uroczo położony z przepysznym parkiem i pałacem jako i nową gorzelnią i dobremi budynkami. Z poważaniem *Jan Ressel.*

NB. Pan Stefan Krause swego czasu przefrymarczył Sokolniki kolonizacyi.

Z Szubińskiego piszą do „Dzien. Kuj.“: Czwarta już wieś przechodzi w ręce kolonizacyi w parafii Chomentowskiej od roku 1886. Dwie pierwsze: Jabłowo i Buszkowo przeszły z rąk polskich w ręce niemieckie dawniej; trzecia: Jabłówko przed sześciu laty; teraz czwarta: Lawrencewo komisyi kolonizacyjnej sprzedana. — Lud polski roboczy rozproszył się na wszystkie strony a to samo i obecnych mieszkanców polskich Lawrencewa czeka.

Lawrencewo jako wieś osobna nie wiele lat egzystencyi swej liczy. Wzięła nazwę ta wioska od pierwszego dziedzica Reczyc (posiadłość Raczyńskich niegdyś) i Dobrylewa (dziś wykupionego z rąk niemieckich przez p. Maciejewskiego) Lawrenca, który po spaleniu dworka starego w Reczycach wraz z zabudowaniami dworskiemi pobudował nowy dwór i budynki na polu i Lawrencewem je przezwał.

Z Przysierska, powiatu świeckiego, donosi „Gazeta Grudz.“, że za przykładem p. Gregera, który to sprzedał posiadłość swą komisyi kolonizacyjnej, chcą pójść pp. Teodor Górecki, Jan Manikowski i Tomasz Przeoliński, gdyż układają się już o sprzedaż swych posiadłości komisyi kolonizacyjnej. Agentem komisyi jest p. Orlikowski, ewangelik.

— **W sprawie Kotowiecka** donosi „Dz. Kuj.“ pan Morawski, dziedzic Kaszkowa, iż otrzymał już urzędowe uwiadomienie od sądu pleszewskiego, że subhasta Kotowiecka została zniesioną. Pomiędzy członkami rodziny Morawskich nastąpiła zgoda co do sprzedaży dóbr kotowieckich Polakowi!

— **Majątek niemiecki** wykupił były właściciel Wróbli, nieszczęsnej pamięci. Piszą „Dz. Pozn.“ o tem z wiarogodnego źródła: „Pan Maryan Grabski z Wróbli kupił majątek rycerski Bielsk w powiecie kwidzyńskim, siedzibę od lat 150 familii Plehnów. Bielsk należał do jednego z członków tejże familii, obejmuje 2500 mórg najpiękniejszej ziemi we wielkiej kulturze, oraz 500 mórg pięknego, starego lasu. W ostatnim czasie drugi większy obywatel okupił się w tym powiecie, ztąd wielka radość pomiędzy ludem tamtejszym, który się cieszy, że u polskich dziedziców odtąd będzie mógł pracować. Lud tam wyłącznie polski — a dziedziców Polaków niema“.

Formalnie tedy sprzedaż Wróbli została ogółowi wynagrodzoną. Ale nam chodzić powinno głównie o to, żeby ziem przyczyniać a nie demoralizować społeczności wogóle przez sprzedaż. Ludzie mówią: Kto raz sprzedał, to i drugi raz sprzedać może. Miejmy nadzieję, że tak nie będzie w tym wypadku.

— **Zmiana własności.** Własność położoną przy ulicy Głogowskiej pod nr. 108/9 sprzedał p. dr. Szuman p. Zgoli za 90,000 marek.

— **Sprawa pana Kulerskiego.** Wydawca „Gazety Grudziądzkiej“ p. Kulerski, stawił się dnia 13-go b m. nad wieczorem w więzieniu w Berlinie, aby odsiedzieć miesięczną karę więzienną za rzekome przestępstwo prasowe

— **Zawiadomienie.** Niezamożni rodzice, którzy pragnęliby, chociaż przez kilka godzin tygodniowo, powierzać swe dzieci opiece godnych osób, mogą w tym celu zgłaszać się codziennie od godziny 4 do 5 i pół po południu, w mieszkaniu przy ul. Strzałowej 7, parter na lewo. Wogóle proszę, aby tak rodzice jak i dzieci celem rozmówienia się ze mną, tam dotąd się tylko zgłaszali.

Aniela Tułodziecka.

— **Prośba.** Szanowne Panie, które pragnęłyby pomódz niezamożnym rodzicom w wychowaniu dzieci, zechcą w tym celu zgłaszać się do mnie. — Pomoc jest niezbędna i nagląca!

Aniela Tułodziecka,
Ogrodowa 19 III.

— **Szkołę muzyki** orkiestralnej i solowej otworzył zarząd Towarzystwa muzycznego w domu przy Starym Rynku 41, III piętro, głównie w tym celu, ażeby kształcić uzdolnionych chłopców na dzielnych muzyków i z młodych adeptów uzupełniać orkiestrę swoją. Uczniowie pobierać mogą naukę na wszelkich instrumentach muzycznych zbiorowo i pojedyńczo pod bardzo korzystnemi warunkami a nawet bezpłatnie.

Jest to nowość w społeczeństwie naszem, za której urządzenie wdzięczność się należy szczera zarządowi Towarzystwa muzycznego. Szkoła taka w której i najuboższy, byle uzdolniony, w muzyce kształcić się może, znajdzie bez wątpienia licznych zwolenników, rozpowszechni i utrwali zamiłowanie do sztuki w społeczenstwie naszem. Wpływ zaś moralny będzie nader cenny, albowiem muzyka nietylko uprzyjemnia chwile, ale kształci umysł i uszlachetnia serce.

To też gorąco polecamy zakład powyższy społeczeństwu naszemu i życzymy mu jak najlepszego powodzenia.

— **„Nowy Czas“** założony przez p. Bobowskiego w Lesznie, a później wychodzący jako odbitka „Gazety Polskiej“ przestaje od 1-go października nosić tytuł „Nowy Czas“ i wychodzić będzie nadal tylko jako „Gazeta Polska“ w Kościanie.

— **Petycyę** tutejszej rady miejskiej o otwarcie granicy celem dowozu mięsa, wystosowaną do ministra rolnictwa, jednogłośnie przyjęto na posiedzeniu dnia 13-go b. m.

— **Także** powód do zakazu! Pan Szuman z Gołuchowa zaprosił liczniejsze grono pań i panów do parku — chcąc równocześnie pokazać gościom swoim zbiory zamku. Dowiedziała się o tem rejencya i dnia 9-go b. m. jak czytamy w „Gaz. Ostr.“, otrzymał p. Szuman telegram z Poznania, że — „z powodu cholery gości przyjąć mu nie wolno“!

— **O metrykę** Między rokiem 1815—24 urodził się w W. Ks Poznańskiem Kazimierz Nowicki. Zależy bardzo na tem, aby wypośrodkować parafię, w której mieszczą się jego akta urodzenia i podać metrykę za wysokiem wynagrodzeniem przez pośrednictwo Biura informacyjnego w Poznaniu. Adres: Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań — Posen. Wszystkie polskie pisma prosimy o powtórzenie tej wzmianki.

— **Zniesienie symultannych modlitw.** W symultannej szkole dla chłopców w Toruniu odmawiali dotychczas codzień rano wszyscy uczniowie razem: katoliccy, ewangeliccy i żydowscy, modlitwy symultanne przed nauką. Niedawno zwrócili się, jak donosi „Gesellige“, trzej księża katoliccy do rejencyi kwidzyńskiej, aby zaprowadziła w tej szkole osobne odmawianie modlitw przed nauką dla uczniów katolickich. Rejencya przychyliła się do tego wniosku. Nad tem ubolewa „Gesellige“, któremu bardziej się podobały modlitwy symultanne.

— **Niebezpieczne pocztówki** Policya z Essen w prow. nadreńskiej zabrała u p. Dzumniłowskiego ze składu cygar i papierosów około 150 pocztówek polskich, wydanych nakładem p. J. Chociszewskiego w Gnieźnie, a grożących „niebezpieczeństwem“ państwu pruskiemu.

— **Zmiany nazw miejscowości** dokonano w ostatnim czasie w W. Ks. Poznańskiem — według „Pos. Ztg.“ — w następujących powiatach: W wągrowieckim Dąbrowa na Dornbrunn, w witkowskim Gorzykowo na Gorzhof, w żnińskim Mieleszyna na Oschnau, w poznańskim Kiekrz na Ketsch, w gnieźnieńskim Komorowo na Deutschthal, w rawickim Konary na Korgut, w śremskim Kunowo na Kunthal, w mogileńskim Kwieciszewo na Blütenau, i Orchowo na Orchheim, w bydgoskim Ostrówek na Bismarcksruhm, w szamotulskim Nokrz na Antonswald, w inowrocławskim Radajewice na Radewitz, w średzkim Sulęcin na Warberg, w poznańskim Tarnowo na Schlehen, w bydgoskim Trzemętowo na Haltenau, w jarocińskim Witaszyce na Witaschütz i Wojciechowo na Lowenitz, w szubińskim Wąsosz na Wonsosch, w babimojskim folwark Kozię należący do Gorzynia na Höhenvorwerk.

— **Załogi** wojskowe po małych miastach mają być zdaniem pism hakatystycznych jednym z najlepszych środków do podniesienia niemczyzny na „kresach wschodnich“. Pismo „Der Mittelstand“ wznawia to dawne życzenie hakatystów i domaga się stanowczo małych garnizonów w miasteczkach W. Księstwa Poznańskiego.

— **Główna pod Poznaniem.** Na uznanie zasługuje żona gospodarza p. Błaszczykowa z Główny, która, gdy córeczkę jej wzięto do niemieckiego oddziału religii, nie spoczęła rychlej, dopóki córeczki nie przesadzono do polskiego oddziału. — Wzór to dla innych!

— **Gniezno.** „Lech“ donosi, iż w Gnieźnie p. Jakób Sikorski sprzedał restauracyą swą wraz z ogrodem na Piaskach Niemcowi za 33,000 marek pomimo, że kilka tygodni temu był nabywca Polak, który dawał więcej.

— **Krotoszyn** pod Barcinem. Kręcą się tutaj w okolicy agenci komisyi kolonizacyjnej, ażeby kusić naszych gospodarzy do sprzedaży Niemcom naszej ziemi polskiej. Podobno mieli być z Wągrówca. Niedawno zjawili się oni u gospodarza p. Ludwi-

ka Jerchy, dawali mu dobrą cenę za ziemię, ale dzielny ten wiarus mimo, że mówili dobrze po polsku, poznał się na farbowanych lisach i wskazał im drogę, gdzie cieśla otwór w ścianie zostawił.

Pan Jercha jest rodowity Kujawiak. Niech więc nas zacni Pałuczanie wezmą go sobie za przykład, jak się ziemi ojczystej trzymać i nie wydawać jej za grosz judaszowski obcym.

— **Smigiel**. Kupiec p. Stachowiak nabył drogą kupna od kupca Bernarda Beckera dom przy ulicy Wschowskiej za 19400 mk. — Hotelista Kruczkowski sen. kupił od spadkobierców Izraela Schwarca przy ulicy Wilhelma położoną posiadłość Cena kupna wynosi 15000 marek.

— **Połąga**. Niedawno zamieściliśmy w „Pracy“ opis tej uroczej miejscowości kąpielowoj morskiej, którą świeżo nawiedził pożar, zniszczywszy znaczną część budynków. Połąga leży na południowym krańcu Kurlandji, w pow. grobińskim, w odległości niespełna pół mili od granicy pruskiej, a o 3 mile od Kłajpedy, na wązkim szlaku brzegu morskiego. W r. 1569 dobra te obecnie własność hr. Tyszkiewiczów, należały do ekonomii stołu królewskiego, w r. 1771 do Mirbacha, w r. 1775 sejm warszawski oddał je Ignacemu Massalskiemu, biskupowi wileńskiemu. Od Massalskich, w drodze wiana, Połąga przeszła do Wincentego hr. Potockiego, w r. 1801 do jenerała Niesiołowskiego, w r. 1824 nabył ją Michał Tyszkiewicz za 177,171 rb Kościół parafjalny zbudowała w r. 1595, Anna Jagiellonka. W r. 1409 Żmujdzini pobili tu na głowę Krzyżaków. Pod Połągą wznosi się wzgórze, zwane „Biruta“, będące dla Litwy tem, czem mogiła Wandy dla Małopolan. Tu mieszkała córka Widymunda, Biruta, poświęcona bogom. Kiejstut porwał ją przecież i w Trokach poślubił. Miał z nią syna Witolda. Po śmierci Kiejstuta, Biruta pomimo chrztu syna, powróciła pod Połągę. Tu, po jej zgonie, w r. 1416, na cześć jej usypano mogiłę, którą lud litewski zowie dotychczas „grobem świętej Biruty.“ Połąga ma ludność nieliczną, złożoną ze Żmujdzinów i Łotyszów. Z zabytków przeszłości zasługują na uwagę: kościół drewniany, szczątki wału kamiennego, które niegdyś stanowiły ściany jedynego na Litwie portu morskiego, i dwa popękane działa na okopie parku spacerowego.

Nekrologia.

† *Sp. Józef Bajerlein*, druh Sokół, dnia 11 bm. w Poznaniu — Jeżycach, przeżywszy lat 65.

† *Sp. Jan Pietruszka*, dnia 11 b. m. w Laurahucie na Górnym Śląsku, w 69-ym roku życia.

† *Sp. Józef Matuszewski*, dnia 12-go bm. w Poznaniu, przeżywszy 55 lat.

† *Sp. Antonina Smukowska* z domu *Sobocińska*, dnia 13 bm. w Poznaniu.

† *Sp. Franciszek Górski*, dnia 13-go bm. w Szprudowie w Prusach Zachodnich, w 64 roku życia.

† *Sp. Kazimierz Węsierski*, dnia 30 zm. w Lubstawie w Król. Polskiem, w 73 roku życia.

† *Sp. Elżbieta Wysocka*, dnia 6 bm. w Grati (gub. siedleckiej).

† *Sp. z Opalskich Marya Szulcowa*, dnia 18 bm. w Poznaniu, w 72 roku życia.

† *Sp. Leon Brysiewicz*, student farmacyi, dnia 16 bm. w Wrocławiu, w 23 roku życia.

Od Redakcyi.

Panu Dobr... Nadesłana humorystyka powędrowała do kosza! Dlaczego? Przyczynę sam Szan. Pan odgadniesz.

Panu N. R. w miejscu. — Wątpimy, czyby w tym przypadku i w takim stanie rzeczy opinia publiczna Szan. Pana mogła potępić? W każdym razie nie szkodziłoby, gdybyś się Szan. Pan zgłosił do wiadomego Towarzystwa. W takim razie miałbyś Szan. Pan przynajmniej czyste sumienie. Prawda, że dom to nie wieś, to nie ziemia, ale taka stuletnia ojcowizna, powinna pozostać w ręku polskiem

Panu H. Kan.. we Wrześni. — Po tę część powieści zgłoś się Szan. Pan tam dotąd, gdzie ją wydrukowano, więc do „Gońca Wielkopolskiego“; „Praca“ owej powieści nie posiada.

Panu A. K. w Pleszewie. — Był tylko dołączony prospekt, dotyczący książki „Dzieje Polski“ dla abonentow naszych w Poznaniu. Prospekt taki otrzymać Szan. Pan może na życzenie od wydawcy książki, p. K. Kozłowskiego w Poznaniu przy ul. Długiej nr. 8.

Panu M. M. w miejscu. — Na placu Bernardyńskim agentury nie mamy, ale bardzo blisko jest agentura „Pracy“ u. p. Różańskiego na ulicy Bramkowej nr. 14. „Praca“ z odnoszeniem do domu kosztuje także tylko 1,25 mrk. na kwartał, jeżeli Szanowny Pan zaabonuje wprost w naszej ekspedycyi przy ulicy Rycerskiej nr. 38 w podwórzu na prawo I piętro a nie w agenturze.

Panu S. Sm. w Sremie. — Dotychczas nie mieliśmy jeszcze sposobności do przejrzenia, prosimy o cierpliwość.

Dział szaradowy.

Logogryf do nagrody.

Z następujących sylab: borz, ci, cza, e, ga, il, is, knia, li, mir, na, niec, no, ra, ron, ska, skroń, pie, pla, pol, tra, u, wicz, za, zie. — ułożyć 9 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko współczesnego powieściopisarza, końcowe zaś, czytane w odwrotnym kierunku, tytuł jego powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka we Francyi. 2. Miasto na Śląsku. 3. Nazwa ludzi przykrych. 4. Część czoła. 5. Powieściopisarka polska. 6. Tytuł panującego. 7. Ptak. 8. Jenerał Polski. 9. Jeden ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Rozwiązania nadejść winny do dnia 30-go września włącznie.

Rozwiązanie z nr. 34-go „Pracy“:

1. WładywostoK
2. OhiO
3. JesiotR
4. CyrograF
5. IrenA
6. EmiliaN
7. CelibaT
8. HomarY

Wojciech Kortanty.

Rozwiązanie dobre nadesłali pp. Jan Kwak z Montois-la-Montagne, Zofia Miłaczewska z Kórnika, Wojciech Piekucki z Hilden, Jadwiga Schmidt z Wągrówca, Kaźmiera Kopydłowska z Wągrówca, K. Śmiśniewicz ze Środy, Frania Zielińska z Gniewkowa, Edward Krawcowicz z Baumgarthu, Jan Drewek z Bądźmirowic, Teodor Główczewski z Bądźmirowic, Marya Büttner z Krefeldu, Marya Szmytkowska z Obornik, S. Śmigaj z Czerniejewa, W. Kujawski ze Śremu, Kazimierz Spychalski z Ostrowa, Nicefor Matuszewski z Wilatowa, W. Jaszczyński z Poznania, Wera Skowrońska z Kcyni, Stanisław Reich z Nowego, Aniela Chosłowska z Poznania, Walery Tybiszewski z Poznania, Adam Gębała z Erkenschwicku, Franciszek Schüssler z Szarleja, Staś i Franio Tatkowscy z Łąki (Gal.), Kazimierz Pędowski z Poznania, Bogumiła Jankowska z Poznania, K. Wrzesiński z Poznania, Tomasz Kornek z Rozdzienia, K. Bączkiewicz z Poznania, Kazimiera Remlein z Poznania, Konstanty Janiszewski z Poznania, Kazimierz Skrobalski z Kościana, Irena Seidel z Sobótki, B. Osmolski z Poznania, Aniela Wieczorek z Antonina, St. Gańdziarski z Krakowa, Leon Jezierski z Poznania, Celina Rychlewska ze Żnina, B. Dominski z Recklinghausen, Józef Knopp z Zabrza, Franciszek Twardzik z Botroppu, T. Biegański z Ostrowa, Marya Grześkowiak z Kępna, Ludwik Fitz z Rożdzienia, Helena Kentzer z Mąkowarsk, Kazimierz Górski z Wąbrzeźna, Berta Badura z Rozdzienia, Bolesława Chrustowicz z Gniezna, Irena Florkowska z Żerkowa, Bronisław Likowski z Pleszewa, Maksymilian Maliński z Poznania, Marcin Skiba z Jasła, Wincenty Sobanek z Botroppu, Józef Górski z Borzejewa, Karol Stanek z Bochni, Joanna Kozłowska z Stęszewa, Wiktorya Majewicz z Gniezna, Stanisław Witkowski z Antonina, Kaźmiera Wawrzyniak z Poznania, Zygmunt Świerkowski z Poznania, Janina Klemke z Buku, Tećka Woźna ze Środy, Anna Gettler z Chociszewa, Józef Wrembel z Pławcy, Jakubowska z Rzeszowa, K. Raunke ze Środy, Bronisława Wolniewicz z Poznania, Hela Palczewska, ze Środy, Józefa Skotarek z Poznania, Michał Walczak z Poznania Wacław Krupczyński z Gostynia, Er. Przybylski z Książa, Wacław Schmidt z Podzamcza, Leon Buchholz z Salzbrunnu, Janina Dobrowolska z Poznania, Janina Szenic z Poznania, Tadeusz Gintrowicz z Poznania, F. Kiedrowski z Bydgoszczy, Helena Werda z Wągrówca, Helena Szafran z Poznania, Kazimierz Nalewajski z Gniezna, W. Lange z Poznania, Sylwester Jakubowski z Essen, F. Sławiński z Landsbergu.

Nagrodę otrzymali pp.: Marysia Stęczniewska z Krotoszyna, Wojciech Prifer z Niegoszowic, (Gal.) Antonina Dąbrowska z Lidzbarku, F. Hanczewski z Berlina, Stefan Szmytkowski z Poznania.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Buk.

Miecz. Szczodrowski, drogerya.

Bydgoszcz.

Rynek Wełniany Nr. 2.
JAN GŁOWIŃSKI.
Skład sukna, wykonywanie podług miary, gwarancya dobrego leżenia. Konfekcya męzka i dla chłopców.

Gostyń.

Z. Janaszewski.
Warsztat wyrobów ślusarskich. — Skład kół i maszyn do szycia.

—

Zakład ślusarski **B. Urbanowicza** wykonuje drzwi żelazne, ogrodzenia parków, kraty grobowe i krzyże. Okuwa drzwi, okna i bramy i t. d.

Jarocin.

Drogerya pod Kotwicą"
W. Chylewski,
poleca towary drog., apteczne, kolon. spec.: farby, pokosty, lakiery, mydła i perfumy w wielkim wyborze.

Kępno.

L. Małuszek w rynku.
Skład bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, firan, dywanów, konfekcyi damskiej i męzkiej i sukna.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.
Edmund Karłowski.

Koźmin.

Centralna Drogerya
K. Suwaliński
Towary drogeryjne i kolon., farby, lakiery, perfumy i td

Kobylin.

J. Gajowczyk.
Pracownia garderoby męzkiej podług miary, oraz jedyny polski skład sukna, bielizny, kapeluszy. Wielki wybór ubiorów gotowych dla dzieci i dorosłych. — Ceny najtańsze.

Kostrzyn.

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Mosina.

Stanisław Michałowski
Zakład malarski artystyczno-dekoracyjny. Wykonuje wszelkie restauracye jako też nowe budowy, kościoły, sceny teatralne itp. Specyalność: pejsaże. Kosztorysy i szkice bezpłatnie.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

—

J. Obecny, przy starej aptece. Skład bławatów, bielizny i konfekcyi damskiej.

—

Drogerya pod złotym jeleniem
F. Anczykowski dawn. T. Mazur,
rynek 21, telefon 67,
poleca farby, lakiery, pędzle, karbolineum, smarowidło na osie, oliwy do machin itd. Hurt. i detalicznie.

Rawicz.

Poznański Dom towarowy
Adama Ratajewskiego
poleca bławaty, płótna, bieliznę, konfekcyą itd.
Ceny tanie, lecz stałe.

—

J. Mroczkowski.
Skład tow. kolonialnych, delikatesów herbaty, araków, wodek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

J. Abt jr.
Handel żelaza i wszelkich artykułów budowlanych.

—

M. Stachowiak.
Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

J. Karpiński.
Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

A. Zwierzchowski,
pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy
W. Ziarniaka
poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.
Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Września.

Centralna Drogerya
H. Bąkowska naprz. poczty
poleca wszelkie artykuły gospodarcze i domowe.
Farby, lakiery, pokosty.
Artykuły fotograficzne.

Wolsztyn.

Drogerya pod gwiazdą
I. Kowalski. Skład towarów drogeryjnych, smarowideł, farb, lakierów i pędzli.

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss.
Pracownia pojazdów i lakiernia gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabrykacya ogrodzeń, nadgrobków i żelaza kutego.

Wolne miejsce do ogłoszeń.

Pensyonat

przyjmuje każdego czasu pod bardzo korzystnemi warunkami panny, uczęszczające do wyższych zakładów naukowych, lub też chcące się kształcić dalej praktycznie. — Do pensyonatu należy konwers. franc., pomoc w naukach Na żądanie lekcye muzyki w domu. 414

Stefania Skoroszewska, św. Marcin 16/17.

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2
poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę
na tabaki ruskie, holenderkę, prawdziwy Nessing.
poleca także swój znany

skład cygar

ji tylko odleżałych
Papierosów i tytuni
w najrozmaitszych gatunkach. 46

NOWOŚĆ: Tabaka zdrowia przeciw katarowi. NOWOŚĆ: Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

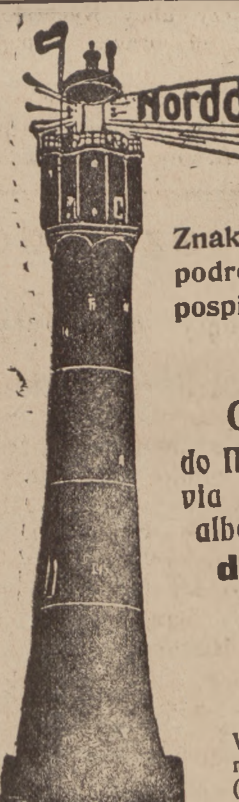
Wyszło co tylko nakładem moim okazałe dzieło w dwóch tomach p. t.: 441

„Dzieje Polski“

z illustracyami przez **Baczyńskiego.** Dzieło to obejmuje 944 stron, zawiera około 200 pięknych illustracyi portrety królów, hetmanów, starożytne zamki, bitwy i 8 mapek. Dzieło napisane tak zajmująco, że się je czyta jak powieść jaką.

Cena egz. brosz. **6** m., egz. karton **7** m., egz. opr. w płótno **7** m. **50** fen.

K. Kozłowski, wydawca, Poznań, Długa 8.



Norddeutscher Lloyd
BREMEN

Znakomita podróż parowcami pospiesznemi i pocztowemi

z Bremy do Ameryki

do Nowego Jorku via Southampton albo Cherbourg
do Baltimore wprost
do Ameryki Połudn.
do morza Śródziemnego
do Egiptu
do Azyi wschodniej
do Australii.

Wskutek zaprowadzenia na naszych parowcach urządzenia do zamykania kajut (Schottenschließvorrichtung — Lloyd-Stone-System) daje się pasażerom jak największe bezpieczeństwo.

Bliższych wiadomości udzieli:
Oelsner, Poznań, Stary Rynek 98.

Czytajcie „Pracę“.

Tow. Młod. kupieckiej
w Poznaniu
poleca pp. **pryncypałom i pomocnikom handlowym** swe
biuro
wskazywania posad
Adres: **F. Rother, Poznań-Posen** Wilhelmstr. 17. 422

Oberża

w Skalmierzycach, przy granicy rosyjskiej, jest z powodu choroby właściciela do sprzedania.

F. Anczykowski
Ostrowo i. P.

Starszego
pomocnika

dobrze poleconego przyjmę od 1-go paźdz. rb. Do oferty proszę załączyć kopie świadectw i fotografią. 440

L. Małuszek, Kępno
skład bławatów i konfekcyi.

Makulaturę

ma tanio do oddania
Drukarnia „Pracy.“

Humorystyka.

Duma narodowa.

Udało nam się wydostać z kancelarji znanego b. min. Bułygina „oryginalny“ projekt regulaminu obrad przyszłej rosyjskiej „Dumy narodowej“, która ma podobno zebrać się z początkiem przyszłego roku w stolicy Piotra W. nad Newą.

Projekt jest krótki, ale za to bardzo. pouczający. Opiewa on:

Art. I. Duma zbiera się raz do roku, wtenczas, kiedy rządowi zwołać ją się podoba (NB. chociaż najlepiejby było, aby się wcale nie zbierała).

Art. II. Do otwarcia obrad potrzeba obecności $^3/_4$ czesci ogólnej liczby wybranych reprezentantów. W razie, jeśliby choć jeden poseł do przepisanego kompletu brakował — ma się duma rozlecieć na cztery wiatry i zebrać aż Pan Bóg wie kiedy.

Art. III. Duma obradować ma nad projektami ustaw, jakie rządowi do głowy wpadną, z zachowaniem wszakże form parlamentarnych. Wszelkich „salonowych“ wyrażeń, rdzennie rosyjskich, od „krugom duraka począwszy, aż do familijno „w mat'“ zmierzających „sukinsynów“ — zabrania się surowo,

Art. IV. Żaden mówca, ani też żaden z obecnych w sali posłów, nie może, podczas posiedzenia, mieć na swoim pulcie butelek z wódką i stakańczyków. Wolno mu natomiast mieć kordjał od żywczy pod pultem, w formie grubej księgi, na której ma być wydrukowany tytuł: „Cywilizacja Rosji“ — i do niego czasami zaglądać w braku inwencji.

Art. V. W celu zapobieżenia zbyt ostrym i gwałtownym sporom narodowościowym, sala obrad ma być tak urządzona, że posłowie każdej narodowości będą siedzieli w osobnym przedziale, odgraniczonym od innych mocnemi, żelaznemi kratami. Zarządzenie to jest konieczne ze wzgledu choćby na to, ażeby Turek nie skoczył (w toku dyskusji) na Ormianina a Kubańczyk na Samojeda i t d (NB. Ten artykuł szczególnie podobał się carowi, gdyż przy nim, na boku, własnoręcznie dopisał: *„Niczewo, niczewo — pyszna budiet menażerja! Mik.“* — Przyp. Red.).

Art. VI. Żaden mówca nie może mówić dłużej niż 10 minut. Po upływie tego czasu prezydent dumy odbiera mu głos i daje mu kwit do bufetu, jako poświadczenie, że mówca spełnił obowiązek zastępcy ludu.

Art. VII. Wygłaszanych przemówień posłów różnych narodów w ich ojczystych językach winni słuchać reprezentanci rządu — ale nie potrzebują ich rozumieć. Jak się „Duma“ wygada — car batiuszka i tak zrobi co zechce.

Art. VIII. Po zamknięciu każdego posiedzenia, — tych posłów, którzy sami na własnych nogach z sali wyjść nie mogą, wynosi służba za wynagrodzeniem 50 kop. od sztuki i wsadza do „trojki“ za opłatą 1 rsb. od głowy

Art. IX. Sesja „Dumy“ trwa z reguły trzy tygodnie może być jednak w skutek „Najwyższego rozporządzenia“ każdej chwili, na cztery wiatry rozpędzona.

Art. X. Przy zamknięcu (również jak przy otwarciu Dumy) winni „błago nadiożni“ wznieść trzykrotny okrzyk na „zdrastwie batiuszki Impieratora“, wziąć do kieszeni wypłacone im dyety i pójść sobie do czorta matiery, albo do jakiegoś innego miejsca wypoczynku po ciężkiej pracy dla atieczestwa.

Art. dodatkowy: W celu zapobieżenia wszelkiej obstrukcji, w jakiejkolwiek formie objawiać by się zechciała, powinno biuro prezydjalne być zawsze zaopatrzone w odpowiednie remedja: (Sól gorzka, Pastylki „Cascara“ i Pigułki Morissona) i stosować je bez względu na koszta i skutki.

Publiczność do rzeźników.

Walnie bili dotąd woły,
Ostro kłuli także świnie —
Fleiszbarony różnych herbów,
O królewskiej prawie minie.
Kłując oni w prawo, w lewo,
Nie zważali na kłuć efekt,
Mianowicie ten, że naród
Zaczął czuć w kieszeniach defekt
Powstał przeto lud i rzecze:
„Nie jest jam ci wół, ni świnia,
Że mi rzeźnik takie rznięcia
Po kieszeniach wciąż wyczynia“,
Tandem tedy, bydłobójcy,
Pohamujcie się w rozpędzie
Podwyższania wciąż cen mięsa,
Bo — wnet z wami koniec będzie.
I my (to jest bydłożercy),
Gdy zrobimy strejk od mięsa,
To wam wasze baronostwo
Wnet się całkiem powytrzęsa.

Przed jatkami w Poznaniu.

— Cóż mięso? podrożało?
— Podrożało.
— Ale za to gorsze?
— A gorsze!.. ale to nic nie szkodzi, bo jeżeli sobie kto zęby na niem połamie — każe zrobić drugie... sztuczne a zęby takie nie podrożały podobno wcale!

Kotka.

Kotka co się ciągle myje,
Wiecznie łapką pyszczek liza,
Jest uznaną, z dawien dawna:
Że „czystości“ to dewiza.
Stąd też różni fabrykanci,
Na tę kotki cnotę czuli,
Biorą ją za wdzięczną markę
Swych krochmalów do koszuli —

Biedni to illuzjoniści!
Ja znam niejednego kotka,
U którego biała czystość
Rzadko kiedy się napotka.

Z humorystyki obcej.

„Czego płaczesz? — „A bo profesor mnie wybił za to, żem mu na pytanie odpowiedział prawdę“. „Cóż to było za pytanie?“ *„Kto tu wsadził do mego krzesła szpilkę?“...*

* * *

Wiadomość o wielkich nieszczęściach można ponoć telegrafować bezpłatnie. Wygoda to też dla teściowych, zapowiadających zięciowi swój przyjazd...

* * *

Dorożkarz X przepił swoje konie i zeszedł na nędzę. Nic dziwnego: sam dobrze *ciągnął* — na co mu konie?

* * *

Na prowincyi podczas wesela pobili się podobno młodzi małżonkowie... No! po weselu nie byłoby to nic dziwnego..

* * *

Rzeźnik pewien czytając gazetę: „Gdzieś tam potruli się ludzie kiszkami z nieświeżego mięsa... U mnie to się nie stanie, bo ja do kiszek mięsa nie daję. Ot co!“

Telefon 1312. Telefon 1312.



J. STARK

Poznań, ul. Wilhelmowska 21

poleca

Sztućce stołowe **Christofla i Comp. w Paryżu,** w gładkich i stylowych fasonach, najdoskonalsze galwaniczne posrebrzenie po cenach fabrycznych.

12 łyżek stołowych	mk. 26,40	12 łyżeczek do kawy	mk. 13,60
12 widelcy	„ 26,40	1 łyżka półmiskowa	„ 6,40
12 noży	„ 28,80	1 widelec	„ 9,20

1 łyżka wazowa złocona mk. 11,20.

Pojedyńcze sztuki sprzedaje po cenie tuzinowej. Oprócz tego zwraca uwagę na wielki wybór innych pięknych i praktycznych sprzętów jak: **jardiniery, tace, talerze do ciast, serwisy do kawy i herbaty, zastawy do owoców, kandelabry, lichtarze itp.** 212

Odnawia i posrebrza zużyte sztućce i sprzęty. — Przyjmuje stare srebro w zamian.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183
przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,
„ „ półrocznem 5½ „
„ „ całorocznem 6 „
od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. Pewność zupełna.

Kujawski Bank Parcelacyjny,
E. G. m. b. H.
w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Patenty

na **wynalazki** wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe:
PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3
BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 62

Papierosy
z fabryki
SULIMA
są
najlepsze.
Produkcya roczna: 200 milionów.

Jedyna jeneralna agentura
i główny skład 532

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Złoty krzyż i medal: Hamburg. Paryż. Wiedeń. 1904.

„Italia“

Fabryka makaronów i opłatków
Poznań,
Tama Garbarska 25-28
poleca swoje wyroby po stałych cenach przy skorej i rzetelnej usłudze tylko hurtownie. 57

Aptekarza 248

Z. Rittera

HELOS BALSAM

radykal. środek **przeciw nagniotkom** wypróbowany od lat 20 usuwa nagniotki i stwardłą skórę. Flaszka **50** f.
Poznań, św. Marcin 20,
filia Berlińska 14.

Brzytwy! Brzytwy!



Brzytwy 35

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; **znane z dobroci i pod gwarancyą** już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futerał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.
Pędzelek 40 fen., nikl **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.
Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00. 1,50 i 2,00 mk.
Nożyczki kute stalowe po 40. 50, 60 i 90 fen.
Noże kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen.
Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50, 60 fen.
Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.**

M. Danecki,
Miejska Górka (Görchen in Pos.)

290

Suknie, bluzki

mają wygląd równo strojny aż do znoszenia, jeżeli są zrobione **z prawdziwie dobrych materyałów,** jakie poleca po ściśle rzetelnych cenach polski specyalny magazyn bławatów

Noskowicz & Co.
Pleschen-Posen.
Próby na życzenie!

Pismo jak
„PRACA“
powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko
1,25 mk.

Hurtownie! Detalicznie!

Farby,

Pokosty, lakiery,

froter, masę woskową

do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 650

szczotki i pędzle

do tychże

Carbolineum

koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya

J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek 8.

Telefon nr. 238.



710

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze
muzyczne instrumenta
nabyć można u

Założono 1790. **W. Eibicha.** Założono 1790.

Stara polska firma w Poznaniu.

I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku
II skład: ul. Dolna Wałowa 1.

Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.

Bóg z nami! **Bóg z nami!**

Wielka-Warszawska-Koncertowa-Harmonika.

Harmonika Warszawska wyszła w tych dniach 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk. **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 16 mk., tylko 6 mk z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D.** i **Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty:** „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“ i wszelkie inne istniejące.

Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.

Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę adresować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny dokładnie podać.

Polecam niniejszem mój

A. PFITZNER

hurtowny handel win

Mád pod Tokajem — Poznań. 79

Zał. w r. 1849.

Specyalność:

Wina górno-węgierskie

czyste wytrawne i słodkie w rozmaitych gatunkach i odcieniach od Mk. 1,50 za litr. **Konjaki krajowe** w beczkach i sądkach od 1,25—2,50.

NB. Na żądanie cenniki i próby.

Największy interes obstalunkowy na **Ciasta, Torty i Lody.**

Poleca na **sezon wiosenny**

Napój majowy butelkę ³/₄ incl. szkła **75 f.** na świerzy marzance.

Spodki z kruchego ciasta do owoców, — tuzin 50 fen.

Kurs handlowy

obejmujący **gruntowną, praktyczną naukę książkowości pojedyńczej i podwójnej, korespondencyi w języku polskim i niemieckim, rachunków kupieckich, teoryi wekslowej, stenografii** oraz **pisania maszyną** itp. rozpoczyna się 434

5-go października.

Na życzenie lekcye prywatne o każdym czasie **Osobne lekcye dla pań i panów.** Prospekty na żądanie gratis i franko.

TEOFIL PREISS.

Nauczyciel handlowy i rewizor ksiąg, **ul. Wiedeńska l.** Prospekty i zgłoszenia także w handlu 8 Rynek 64.

Zakład założony 1893 r. Telefon 1756.

Sześć pierwszoklasowych maszyn do pisania różnych systemów do dyspozycyi.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od **28,000 marek.**

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach 397

John Fowler & Co., Magdeburg.

DARMO

daję recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski,

Pniewy (Pinne Pr. Posen)

Destylacya i fabryka likierów

poleca po nizkich cenach 767

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux, na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem i przeszł. roku na wystawie kucharskiej w Poznaniu srebrnym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite **nalewki, wódki gdańskie, żołądkowe, alpejską, araki, rumy i francuzkie koniaki.**

Drogerya

i

chem.-techn. laboratoryum

aptekarza

Zacheusza Rittera

Poznań. 83

św. Marcin 20 i filia Berlińska 14

Telefon nr. 1936

En gros. poleca **En detail.**

wody mineralne

świeżego nalewu,

Sole i Ługi do kąpieli,

oliwy do machin, smarowidło na osie, carbolineum, sól bydlęcą i kuchenną, farby, pokosty, lakiery, i t. d.

po najniższych cenach hurtownych.

Fortepiany

i

harmonia

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dzwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio jedyny **polski** magazyn

A. Drygas,

Poznań,

Rycerska 33.

Katalog illustrowany na życzenie franko. 298

Pismo jak „Praca" winno znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 19

Kąpiele elekryczne świetlane.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

„Praca" Drukarnia Nakładowa Sp. z o. p.

poleca się do wykonywania wszelkich w zakres **drukarstwa** wchodzących robót szybko, gustownie i po możliwie najtańszych cenach. **POZNAN, ulica Rycerska nr. 38.**

Właściciele i Wydawcy: „Praca" Drukarnia Nakładowa Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Drukiem „Pracy" Drukarni nakładowej w Poznaniu.